

Nasze drogi
do nowego domu



Krzeszów

„Krzeszowski Osadnik 1945 - 1955” to pomysł Stowarzyszenia Optymistów Krzeszowskich na ocalenie od zapomnienia wspomnień, żyjących jeszcze osadników. To również przekazanie współczesnym częstki najnowszej historii, przez naocznych świadków i pobudzenie lokalnego patriotyzmu, szczególnie wśród młodzieży.

Pierwsi osadnicy odchodzą od nas w zastraszająco szybkim tempie i dlatego konieczne jest utrwalenie, poprzez spisanie ich wspomnień i historii wędrówek. Podróżowali z różnych miejsc do nowego domu, jakim stał się dla nich Krzeszów. Publikacja powstała na podstawie zebranych historii. Uzyskanie wywiadów nie było łatwe, ale po przełamaniu pierwszych lodów, była radość, że odnajduje ich osoba, która często z wypiekami na twarzy, łączami w oczach i ogromnym zainteresowaniem słucha ich historii.

Trudne to były rozmowy, ale odkrycie tych skromnych ludzi z ich wielkim bażem przeżyć i doświadczeń to było wielkie wydarzenie.

W projekcie uczestniczyła młodzież z drugich klas krzeszowskiego gimnazjum. Rezultat prac to przygotowany pokaz multimedialny, mini książka kucharska oraz zebrane legende.

Dzisiejsze średnie i młode pokolenia „krzeszowiaków” mogą swoim przodkom pozazdrościć radości życia, samozaparcia i niesienia pomocy sąsiadzkiej w społeczności wiejskiej w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej. Pomimo, że przybyli tu z różnych stron i różnych miejsc (Nowo Sądeckie i Kresy Wschodnie), wszyscy zakładali nowe domy „pili życie prosto z dzbana i nie szukali dziury w moście”, lecz budowali nowy most, chociaż część z nich uważała, że są tu tylko tymczasowo.

Nie zapominali o zwyczajach i tradycjach wyniesionych z rodzinnych stron.

Przybyłe ze Lwowa Sióstry Benedyktynki nadały nowy rytm życiu: duchowy rodzinny i kulturalny. Organizowały i prowadziły przedszkola, przygotowały niezapomniane przedstawienia; na które przychodziła cała wieś, a w których aktorami byli mieszkańcy - na co dzień rolnicy, ich żony i dzieci.

Jeden z bohaterów ze wzruszeniem opowiadał o swojej roli Heroda w jasełkach; gdy Śmierć mu ściąnała głowę, jego trzy córki na widowni bardzo płakały za tatkiem.

Bohaterkami wspomnień są również spracowane kobiety, które wychowały po kilkoro dzieci, były oszczędne w okazywaniu emocji, skromnie i mniej barwnie opowiadały o swoich losach niż panowie. Ci z przyjemnością wspominali zarówno młode lata na ojcowiznie jak i te pierwsze w Krzeszowie.

Strach, który im towarzyszył, po latach zbladł. A pozostała duma, że przetrwali!

Z przyjemnością słuchało się pogodnych historii o stosunkach z Niemcami, z którymi przyszło mieszkać przybyłym w latach 1945-1946.

Dużym zaskoczeniem były opowieści z których wynikało, że sąsiadzi często bywali większym zagrożeniem niż Niemcy.

Cieszymy się ogromnie, że udało się naszej organizacji spisać tych kilka historii naszych pierwszych mieszkańców.

Mamy jednocześnie nadzieję, że ocalimy od zapomnienia małe kawałki naszej „krzeszowskiej” historii.

Halina Tykierko – koordynatorka projektu

Stefan Bodzioch

Gdy wiosną 1945 roku kończyła się najstraszliwsza w historii świata wojna, przebywałem na robotach

w III Rzeszy. W lipcu 1945 roku wróciłem z Niemiec w swoje rodzinne strony do Biadolin Radłowskich w województwie małopolskim. Jednak w swojej rodzinnej miejscowości nie przebywałem zbyt długo. U końca sierpnia 1945 roku wyruszyłem wraz z dwoma znajomymi na ziemie zachodnie. Podróż trwała trzy dni, czasami jechaliśmy w wagonach pasażerskich, ale również bydlęcych. W taki sposób 1 września 1945 roku znalazłem się na dworcu kolejowym w Ziemsku.



Jednak nie był to koniec mojej tułaczki. Jeszcze tego samego popołudnia wyruszyliśmy w pieszą podróż do miejscowości Krasobór, oddalonej 10m kilometrów od dworca kolejowego w Kamieniogórze. Gdy przyszliśmy do Krasoboru, był już wieczór. Zamieszczaliśmy w gospodarstwie pana Stefana Goryczki, który mieszkał przy obecnej ulicy Nadrzeczej. W jego domu zastaliśmy Niemców, którzy się serdecznie z nami, jako nowymi lokatorami, przywitali.

Po trudach podróży siedliśmy do pierwszej kolacji, która miała charakter podniosły i uroczysty. Wtenczas długo rozmawialiśmy o tym, jak nam się żyło w czasie wojny, jak wyglądała nasza szara codzienność i co nas skłoniło do przyjazdu tutaj. Była to bardzo dłuża i serdeczna rozmowa. Powiedziałem, że powodem mojego przyjazdu, był pobyt na tych ziemiach mojego szwagra Józefa Basty. Następnie pomyślimy jako nowo przybyli talerze i poszliśmy spać. Tak minął mój pierwszy dzień na ziemiach odzyskanych.

W czasie kiedy u pana Goryczki przebywali Niemcy nie miałam z nimi żadnych nieprzyjemności, nie wyrządziliśmy sobie nawzajem krzywdy. Było to spowodowane tym, że dobrze mówiłem i rozumiałem po niemiecku.

U Pana Goryczki mieszkałem do 1947 roku, kiedy dostałem dom przy ulicy Osiedle, pracowałem u niego na gospodarstwie. W maju 1946 roku wysiedlano Niemców od Goryczki i wtenczas zostali tylko sami Polacy. W 1947 roku ożeniłem się ze Stefanią Bodzioch z domu Kulpą. Małżeństwo stało się warunkiem otrzymania od władz własnego mieszkania. Samą Stefanię poznałem na przełomie 1946/1947 roku. Dom, który dostałem na Osiedlu nr 3 to bezdzietne małżeństwo. Z niewiadomych względów wyjechali oni do Kalisza w 1947 roku, a ja wraz ze Stefanią wprowadziłem się w ich miejsce. Mieszkanie zastałem praktycznie całkowicie zeszabrowane, zachowały się tylko dwa poniemieckie łóżka drewniane, stary kredens, sztyld ze swastyką do łopaty.

W pierwszych latach powojennych poznawałem przede wszystkim Krzeszów i jego okolice. Pamiętam niemieckie napisy nad gospodami, sklepami i innymi budynkami. Zapamiętałem również pomnik cesarza niemieckiego Wilhelma, który stał u wylotu drogi na Kamienną Górę, który później został zburzony. W jego miejsce stanął pomnik ku pamięci utworzenia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego 22 lipca 1944, odsłonięty w czwartą rocznicę tego wydarzenia.

W swoim rodzinnym gospodarstwie posiadałem 75 arów. Początkowo nie korzystałem z pomocy da poszkodowanych w wyniku II wojny światowej. Dopiero później, ze świadczeń rzeczowych, dostałem przydział na poniemiecką kozę. Jednocześnie musiałem zdać zboże, mleko i mięso. Zbożem spłacałem też dom, który otrzymałem na Osiedlu. Płaciłem również za mięso innych mieszkańców gminy, które oddawano do Spółdzielni Gospodarczej „Samopomoc Chłopska”.

W czasie formowania się polskiej administracji nie brałem czynnego udziału w życiu politycznym i społecznym Krzeszowa. Jednak mimo to, bardzo dobrze znałem wójta gminy Krzeszów, Michała Janika. Uczęszczałem do kościoła, gdzie poznałem księdza Włocha i Czechę, którzy nam początkowo służyli. Dopiero później mieliśmy za księdza Polaka – Mateusza Skibniewskiego.

Po założeniu rodziny i narodzinach pierwszego dziecka w 1948 roku, zacząłem pracować na stacji kolejowej w Krzeszowie i tam zajmowałem się wycinką drzew i ładowaniem ich na wagony. Następni pracowałem przez rok w tartaku. Praca mi jednak nie odpowiadała, zwolniłem się i przeniosłem do kopalni piasku we wsi Nowe – obecny Krzeszówek. Tam pracowałem do jesieni 1949 roku i znowu powróciłem na stację kolejową na załadunek drewna, gdzie pracowałem do 1959 roku.

Miałem ukończoną 7 klasę szkoły powszechnej. Naukę przerwałem ze względu na wybuch wojny. Uzupełniłem ją dopiero w szkole podstawowej w Krzeszowie w latach 50.

Nie kultywowałem tradycji galicyjskich, jadłem potrawy przygotowane przez Niemców, jak również Polaków. Nie wybrzydziłem. Nie utknęła mi w pamięci żadna bajka, którą mógłbym się podzielić. Pamiętam za to dramatyczne wydarzenia z Jasełek w 1946 roku.

W domu na dzisiejszej ulicy Benedyktyńskiej odbywały się jasełka bożonarodzeniowe, które były zorganizowane i zagrane przez dzieci z gminy Krzeszów. Wśród widowni byli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej. W pewnym momencie, a słońce miało się ku zachodowi, ktoś krzyknął, że przyjechali maruderzy czerwonoarmiści kradną i grabią mienie poniemieckie na dzisiejszej ulicy Bernarda Rosy. Funkcjonariusze milicji przystąpili do ratowania mienia, postrzelili dwóch Rosjan, być może były 2 trupy. Czerwonoarmiści dzwonili do Komendantury Radzieckiej w Kamieniogórze z prośbą o przyjazd do Krasoboru, jednak nikt nie przyjechał. Wtenczas postanowili uciekać samochodem ciężarowy w stronę Lubawki. W taki sposób dokonczono przerwane jasełka.

Michał Downarowicz

Urodziłem się 13 marca 1912 roku w miejscowości Niemaniny w powiecie Olita na Litwie. Uczęszczałem do szkoły litewskiej. Po ukończeniu szkoły pracowałem w gospodarstwie rolnym przy rodzicach. W wieku 21 lat zostałem powołany do czynnej służby wojskowej i służyłem przez półtora roku w Wojsku Litewskim jako szeregowy. W marcu 1939 roku zatrudniłem się jako gajowy w Lasach Państwowych, gdzie pracowałem do roku 1941, czyli do czasu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Rodzinny dom opuściłem, ponieważ armia radziecka wyzwalała wieś, w której mieszkałem – Pieleszyszki, zawłaszczyła nasz majątek – 20

hektarów ziemi i 7 hektarów lasu. Został jedynie drewniany dom i niewielki skrawek pola. Nie było z czego żyć. Bałem się również zostać z powodu mojego brata, który był wówczas żołnierzem wieleńskiej AK, i którego uznano za zdrajcę narodu. Granicę litewsko-polską przekroczyłem 30 marca 1945 roku. Transportem z Litwy dowieziono nas do Zielonej Góry, po czym w niedługim czasie znalazłem się we wsi Błażkowa. Zamieszkałem tam w jednym domu z niemieckim rodzeństwem – dwiema siostrami i bratem. Siostry były świętymi gospodyniami. Doskonale gotowały, robily pasztety i kiełbasy. W 1946 roku osoby pochodzenia niemieckiego zostały zmuszone do opuszczenia ziem odzyskanych. Pomogłem wówczas siostrom i bratu w opuszczeniu Błażkowej i dostaniu się do granicy niemieckiej. Z jedną z siostr – Martą – połączyło mnie uczucie. Po latach, w 1985 roku, odnalazła mnie w Krzeszowie.

Niestety w Błażkowej nie mieszkałem długo. Z domu wyrzucił mnie jeden z działaczy Urzędu Bezpieczeństwa. Krótko po tym został zamordowany. Jego ciało znalezione w rzece, nieopodal koła młynskiego w Janiszowie.

Przesiedlono mnie do Krzeszowa, do domu, w którym mieszkała nigdyś kobieta o nazwisku Lorek. Po upływie dwóch lat otrzymałem dom, w którym mieszkam do dziś. Budynek zastałem w stanie, w jakim pozostawiono go w czasie przesiedlania niemieckich rodzin. Sprowadziłem wówczas matkę i siostrę przebywające do tamtej pory na Litwie. Nigdy nie udało mi się odnaleźć brata Juliana walczącego w AK.

Na początku roku 1946 rozpoczęłem pracę jako gajowy w Nadleśnictwie Lubawka. W związku z likwidacją Nadleśnictwa Lubawka z dniem 1 lipca 1972 roku zostałem pracownikiem Nadleśnictwa Kamienna Góra w leśnictwie Krzeszów (dawne leśnictwo Betlejem). 31 maja 1977 roku, po przepracowaniu w Lasach



Państwowych 33 lat, przeszedłem na emeryturę.

W Krzeszowie poznałem żonę Annę, która zmarła w 1960 roku. Doczekałem się 5 wnuków i jednej prawnuczki.

Przez wiele lat, kiedy jeszcze żyła moja matka i siostra, w domu często przyrządzano potrawy z moich rodzinnych stron: bliny z mąki gryczanej, cepeliny (rodzaj klusek ziemniaczanych z nadzieniem mięsnym lub grzybowym), kołduny z rosołem lub barszczem, kindziuk czyli wędlinę robioną z dobrego mięsa – szynki lub łopatki odpowiednio przeprawionej, długo wędzonej, a następnie dojrzewającej co najmniej pół roku w zimnym i przewiewnym miejscu. W późniejszym czasie przejęliśmy potrawy tutejsze.

Nigdy, pomimo moich starań, nie otrzymałem rekompensaty za utracone miecie na Wileńsko-Łuckim. Pomimo oczywistych dowodów i zeznań świadków, ciągle otrzymuję orzeczenia odmowne.

Wincenty Dumański

Urodziłem się w 1932 roku we wsi Uchorniki w województwie Stanisławskim. W 1939 roku, w pierwszy dzień wojny, poszedłem do pierwszej klasy. W szkole przyjęli nas wyjątkowo. Pośadzili za stołem i poczęstowali ciastem i kakao. Wtedy w klasach było po czterdziestu dzieci. Polskich i ukraińskich.

Ze szkoły pamiętam jedno takie wydarzenie. W piecach, którymi ogrzewano szkołę paliło się torfem. Któregoś dnia stróż, który zajmował się rozpalaniem tych pieców, wyjął jeden z nich nie wybierając uprzednio ognia. Piec nabrął gazu, dwa razy podskoczył i rozpadł się na kawałki. Nauczycielka pootwierała drzwi i okna i kazała dzieciom jak najszybciej opuścić klasę, w obawie przed ułatwiającym się czadem.

W szkole uczyłem się po polsku i po niemiecku. Nie uczyłem się geografii, historii, ponieważ ukończył edukację na trzeciej klasie. Mogłem iść do czwartej, ale później uczyli już Ruscy, tylko w języku rosyjskim. Zdążyłem tylko poznać abecadło, ale języka nie umiałem, więc mimo że w ocenie nauczycieli nie należałem do tumanów, nauki nie kontynuowałem. Mój ojciec miał stałą pracę, zatrudniony był na kolei. Zarabiał dobrze, bo 150 złotych, a kiedy poszedłem do drużyn konduktorskich, to nawet dwukrotnie więcej. Za 300 złotych miesięcznie można było kupić aż cztery krowy! Nas w domu było sześcioro – cztery siostry, ja i mój brat.

W dzieciństwie dużo łobuzowałem. Kiedy przyszli do nas Ruscy, a później Niemcy, mama nigdzie mnie nie puszczała. Kiedy wracałem ze szkoły, jadłem obiad,



brałem koszyk i szedłem do pola. Pola mieliśmy dwa hektary. Mama trzymała też dwie krowy. W polu robiłem szybko. Musiałem na przykład okopać dwa rzędy ziemi, okopałem 4, bo chciałem iść pograć z chłopakami w piłkę. Bawiliśmy się też w wojnę. Kiedyś znaleźliśmy z kolegami broń i amunicję. Obwiesiliśmy się tymi nabojami, a karabiny zawiesiliśmy na paskach za sobą. Przechodziliśmy koło wartowni Ruskich, którzy nas złapali. Kazali wszystko oddać, a potem zawałali kucharza, któremu przykazali wziąć menażkę soli. Mężczyzna zdjął z tej menażki wieczko, nalał wody i rozpuścił w niej sól. Każdy z nas, za karę, musiał wypić taką porcję. Kiedy nas puścili poszliśmy szukać strumyka. Po wypiciu wody z rzeki, rozbolały nas brzuchy. W trakcie tego łobuzowania zgłodnieliśmy. Poszliśmy do pola. Nie znaleźliśmy nic dojrzałego oprócz maku. Zjedliśmy go. Jak wróciłem do domu, to tak strasznie cierpiłem, że mama poszła do swojego brata, żeby pojechał po lekarza. „Jedź, bo z Wickiem może być koniec” – krzyczała zrozpaczona. Doktor, który przyjechał, leczył mnie kwaśnym mlekiem.

Mój ojciec kupił maszynkę do robienia papierosów, tutki i ja mu pomagałem przy tym. Potem, kiedy chciałem się przyjaźnić ze starszymi ode mnie chłopkami, dawałem im te papierosy. W zamian za to oni zabierali mnie na ryby nad Dniestr. Łowiliśmy głównie szczupaki. Po wędkowaniu oni dawali mi 2-3 ryby, które zabierałem do domu. Kiedyś razem z moimi kolegami – Iwanem i Pawłem – znaleźliśmy dużo granatów. Bawiliśmy się nimi, podrzucaliśmy tak długo, aż się rozkręcił. Wypadła zawleczka ze spłonką i trotyl, ze 200 gramów. Iwan, schował go do kieszeni, a w spłonkę, którą trzymał w palcach leciutko uderzył kamieniem. Nastąpił wybuch. Odrzuciło nas z wielką mocą, mieliśmy całe ciała pokaleczone od odprysków, a moje białe płócienne spodnie były całe czerwone.

Iwan, sprawca wybuchu, nie wiedział co się stało. W pierwszej chwili cieszył się, ale kiedy zorientował się, że u dłoni wiszą mu trzy oderwane palce, zaczął płakać. Jakiś stary chłop wziął nas na wóz i zawiózł na komisariat, gdzie był lekarz. Medyk znieczulił rękę, odciął zwisające palce i zeszyt skórę. Kiedy wróciliśmy do domu, rodziców Iwana nie było. Poszli do Cerkwi. W naszej okolicy było bardzo dużo Żydów. Do wojny współżyliśmy z nimi dobrze. Wszystko zmieniło pewne wydarzenie.

W czasie wojny podczas nalotu byłem z ojcem w Otyni. Kiedy Niemcy zaczęli strzelać z samolotu, z karabinu maszynowego próbowaliśmy znaleźć schronienie. Wpadliśmy do domu jednego Żyda, który mimo naszych prośb nie wpuścił nas do środka. Tak się złożyło, że ten sam Żyd przyszedł kiedyś do ojca, aby ten go ukrył. Ojciec wygonił go jednak i wypomniał mu tamto zdarzenie.

W 1945 roku opuściliśmy rodzinne strony. Banderowcy zaczęli masowo mordować Polaków i choć mój ojciec dobrze z nimi żył, baliśmy się. Mama, rozsądna kobieta, poradziła więc ojcu, żeby poszedł do księdza, zabrał nasze metryki i zgłosił do władz nasz wyjazd do Polski.

Na stację przyjechaliśmy w sierpniu 1945 roku. Miesiąc wcześniej zaczęliśmy się pakować. Niestety nie mogliśmy sprzedać nic z naszego dobytku – za krowę

dawali parę groszy, więc my ją ze sobą zabraliśmy. Mieliśmy przynajmniej mleko. W trakcie podróży nasza krowa jadła koniczynę, którą zebraliśmy dla niej przed wyjazdem. My żywiliśmy się tym co ugotowały jadące z nami kobiety lub gromadzką darowaną nam przez Czerwony Krzyż.

Wszy były wszędzie. Chociaż się myliśmy, wychodziły nie wiadomo skąd. Podczas postoju na stacji we Wrocławiu, kolega ściągał z siebie te wszy i pstrykał nimi w przechodniów. Kiedy po ponad miesiącu dotarliśmy na miejsce naszego stałego pobytu w Polsce – Jodłowa (Międzylesie) – zastaliśmy tam jeszcze Niemców, prowadzących gospodarstwa rolne. W dniu naszego przyjazdu przyszedł sołtys i kiedy zobaczył, że mamy dużą rodzinę, przydzielił nam 20 hektarowe gospodarstwo i 12 krów. W Jodłowie się mamie nie podobało, bo były góry. W tym czasie Niemcy przesiedlali „czeskich” Niemców na obecne tereny polskie. Mama pojechała więc do wujka do Międzylesia, żeby ten pomógł jej tam poszukać domu. Znalazła dom, w którym mieszkały dwie Niemki – Marta i Iza. Był też Niemiec, z którym mama się dogadała.

W 1952 roku zabrali mnie do wojska ochrony pogranicza. Podczas służby przeszedłem m.in. kurs sapera, poznałem całe województwo szczecińskie. Wojsko wspominam bardzo dobrze.

Do domu wróciłem w 1952 roku. Pomagałem rodzicom w polu i zagrodzie. Któręgoś dnia podczas pracy na gospodarce byłem świadkiem wypadku samolotowego. Ruski samolot odrzutowy wbił się w powietrze, po czym dał pika w dół, spadł i rozbił się na sąsiada polu pszenicy. W środku było trzech pilotów.

Żona Janina Kluczyńska była młodsza ode mnie 13 lat, ale bardzo mi się podobała. Kiedy Jaśka skończyła szkołę, wyjechała z rodzicami do Krzeszowa. Kupili dom od Pazganów. Ja miałem wtedy motor – Javę i przyjeżdżałem do Krzeszowa. Ślub wzięliśmy 14 stycznia 1968 roku.

Stanisława Gieniec

Wyszłam za męż w 1948 roku i mieszkałam u brata w Królowej Polski w budynku, w którym władze zrobili przedszkole. Przez jakiś czas gotowałałam dla tych dzieci, jednak mój mąż nie mógł znaleźć pracy. Napisał więc do swojej siostry, która mieszkała w Krzeszowie. Wyjechała tam kilka lat wcześniej. Zachęcała go do przyjazdu. To była szansa na lepsze życie.

W 1945 roku zmarła moja mama. Miała raka macicy i leczyła się w krakowskim szpitalu. Wtedy zwalczało się go radem, który był jednak trudno dostępny. Lekarze byli jednak bardzo ofiarni, pomocni i wrażliwi. Chcieli pomóc mamie, dali jej więc zastępce lekarstwo. To jednak nie po-



mogło. Do Krzeszowa przyjechałam w 1949 roku. Miałam wtedy 21 lat i roczną córeczkę – Janinę. Mój mąż, Wojciech, przyjechał kilka miesięcy wcześniej w poszukiwaniu pracy. Znalazł zatrudnienie w kopalni piasku w Krzeszówku. Na ziemie odzyskane jechałam więc sama. Nie zabrałam prawie nic. W jednej ręce trzymałam walizkę, w drugiej córkę. Wyjeżdżając z rodzinnego domu modliłam się, żeby w kościele w Krzeszowie był obraz Matki Boskiej. Wiedziałam, że dzięki temu będę czuła się bezpieczniej. Kiedy w pierwszą niedzielę po przyjeździe poszłam do bazyliki i zobaczyłam piękną ikonę świętej, rozpłakałam się, ale i uspokoiłam. Strach mnie opuścił. Wierzyłam, że jeśli będę modliła się do Matki Boskiej, dam sobie radę. I do dziś, przez długie lata, zawsze czułam jej opiekę. Mimo chorób, które mnie dopadały, jestem nadal samodzielna, w pełni sił umysłowych, przydatna dzieciom i wnukom. Dziś mam 84 lata. Jestem wdzięczna, że żyję tak długo.

Na początku, po przyjeździe do wsi mieszkaliśmy u siostry męża, następnie przeprowadziliśmy się do czerwonego domu, w którym obecnie mieszka Cebula. Większość domów w Krzeszowie była zniszczona. Budynki wymagały poważnych remontów. Ja miałam dziecko, któremu należało zapewnić odpowiednie warunki. Dlatego też, dzięki interwencji w gminie, przydzielono nam dom po nieczynnej kuźni, w którym mieszkałam obecnie.

Kiedy się do niego wprowadzaliśmy, był w strasznym stanie – nie miał okien, był zdewastowany. Największym plusem była jednak przynależna do zabudowań łąka. Zdecydowaliśmy się więc z mężem przystąpić do remontu. Było ciężko. Brakowało nie tylko funduszy, ale również materiałów budowlanych. Kiedy mąż wstawał okna, mieszkałam u jego siostry. Wtedy przyszedł sąsiad i te okna zdemontawał, bo jemu też były potrzebne.

Mąż pracował, a ja postanowiłam zająć się gospodarką. Na początek postanowiłam kupić krowę. Od ówczesnego wójta dowiedziałam się, że do przewozu inwentarza mogę otrzymać bezpłatny wagon. Tak też się stało. Pojechałam do Grybowa. Kupiłam nie tylko krowę, ale też jałówkę i świnie. Podczas podróży towarzyszyła mi o 3 lata młodsza siostra, która pilnowała moich zwierząt, kiedy ja nosiłam dla nich wodę. Na wyjazd zabrałam ze sobą papierosy, którymi przekupowałałam kolejarzy, żeby wskazali mi najbliższy pobór wody. Do Krzeszowa jechałam 5 dni. Było ciężko i niebezpiecznie. Po dotarciu do domu byłam zmęczona i skołowana, ale też niezwykle szczęśliwa – miałam swoją własną krowę, mleko dla dziecka i dla nas. Wtedy, to było bardzo dużo. Rozwój mojego gospodarstwa w dużej mierze zawdzięczam Janowi Guzemu – kierownikowi rolnemu z gminy. Poradził mi, że byśmy z mężem powiększyliśmy nasze gospodarstwo i na raty dokupili kawałek ziemi. Namówił mnie też do zakupu zarodowej krowy. Kosztowała wtedy 18 tysięcy złotych, a ja miałam już piątkę dzieci. Mąż nie chciał się zgodzić na ten zakup, ale ja postawiłam go przed faktem dokonanym. Kierownik zapewniał, że korzyści z wydatku zobaczymy już w krótkim czasie. Gdyby się ocieliła, za byka dostałabym 50 tysięcy złotych! Człowiek był młody, trochę naiwny i głupi, ale też odważny. Podpisałam umowę i krowa była nasza. Szybko się ocieliła, ale byk był martwy.

Byłam zrozpaczona – tyle długów, jak sobie poradzimy? Po upływie jakiegoś czasu zapłodniliśmy naszą krowę po raz drugi. Podczas ciąży była pod stałą opieką lekarza weterynarii, bardzo o nią dbałam. Nasza sytuacja zmieniła się, kiedy krowa się ocieliła. Urodziła bliźniaki. Były bardzo silne i szybko rosły. Pojechałam z nimi na aukcję do Jeleniej Góry. Sama, bo mąż był w pracy. Nocowaliśmy u żony tego weterynarza. Kobieta zaprosiła nas do swojego domu, dała oddzielny pokój, ugospiszała kolacją i śniadaniem. Chciałam zapłacić, ale skąd – nie przyjęła. Gdzie się po działy tacy ludzie? Dzisiaj już takich nie ma. Na aukcji musiałam spacerować przed komisją z moimi jałówkami. Po zakończeniu prezentacji, kierownik aukcji zaprosił mnie do biura. Bałam się, że nie znaleźli się kupcy na moje cielaki. Ale on do mnie mówi: „Pani Giećcowa, pani jałówki zebrły najwięcej punktów, a co za tym idzie, osiągnęły najwyższe ceny”. Bardzo się ucieszyłam, pytam się więc, jak mogłabym się odwdzięczyć, a on na to: „To pani sukces”.

Wróciłam do domu zmęczona, ale szczęśliwa. Nie mogłam uwierzyć w swój sukces i pieniądze, które dostałam za cielaki. Wtedy ponownie pojawił się pan Guzy z dobrą radą. Poradził żebyśmy z otrzymanych pieniędzy spłacili kredyt zaciągnięty na zakup ziemi. Otrzymaliśmy bonifikatę w wysokości 37 tysięcy złotych. Za otrzymane pieniądze kupiliśmy konia, beczkowóz, kosiarkę rotacyjną i jeszcze jedną jałówkę. Po czasie sprzedaliśmy konia i kupiliśmy ciągnik. Dzieci chodziły do szkoły, ja z mężem pracowałam. Życie upływało. Mąż zachorował i zmarł w 1996 roku. Miał 69 lat.

Kiedy przyjechaliśmy po wojnie do Krzeszowa, był to czas kiedy ludzie traktowali pobyt na ziemiach odzyskanych tymczasowo. Pewna kulawa Niemka, która przyjeżdżała do mojego sąsiada, też Niemca, zwykła mawiać, że Polacy sądzą, że wkrótce wszystko będzie ich. Ale się przeliczą – odgrązała się. Wtedy nikt nie był pewny jak rozwinięcie się sytuacja, jak potoczą się losy każdego z nas, czy po wysiedleniu w 1946 roku Niemcy nie wrócą i nas nie wygonią. Baliśmy się.

Do tej pory, prawie co roku odwiedza mnie Remi – Niemiec, którego wysiedlono w 1946 roku. Zawsze przywozi ze sobą drobny prezent, w podziękowaniu za gościńce i cieszy się, że go przyjmujemy w domu, który opuścił mając 11 lat. Pamiętam pierwszą wizytę Remiego, kiedy przyjechał do nas wraz ze swoją matką i siostrą. Pojawili się z tłumaczem, nieśmiali, niepewni. Cieszyli się, kiedy pozwoliłam im zamieszkać znowu w swoim rodzinnym domu. Dla mnie było to oczywiste – to było ich miejsce, ich dom, który ja zajęłam. Nie wszyscy moi rodacy mieli takie podejście jak ja. Ale czemu byli winni Niemcy? Zmuszono ich do wyjazdu, nie mieli wyjścia. To polityczne paktu zdecydowały o ukształtowaniu się naszych losów.

W życiu kieruję się zasadą, że należy być zawsze miłym i serdecznym dla innych ludzi. Jak przyjechaliśmy do Krzeszowa zaraz po wojnie, było inaczej. Tak rodzinnie. Ludzie przychodzili jeden do drugiego, pomagali sobie, użyczali sprzętu, współczuli, jak u innych źle się działało, a jak było dobrze, to potrafili cieszyć się wspólnie. Kiedy były dożynki, szła na nie cała wieś. Było hucznie i wesoło. Dzisiaj ludzie zamykają się w domach.

Tadeusz Jała

Urodziłem się 25 lipca 1922 roku w Żurowie, w powiecie Rohatyn, w czasach kiedy tereny obecnej Ukrainy należały do Państwa Polskiego, jako syn Jana i Anny z domu Kobiałko. Wypędzony z kresów wschodnich, jako osadnik odnalazłem się w Krzeszowie. Moje wspomnienia z lat młodości na ziemi, w której się urodziłem pragnę rozpocząć tekstem pieśni, którą śpiewałem z ławy szkolnej:

„Gdyby orłem być, lot sokoli mieć
Skrzydłem orła lub sokolim
Unieść się nad Podolem
Tamtym życiem żyć, tamtym życiem żyć.
Droga ziemia moja, myśl ją moja zna
Tam najpierwsze szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje
Tam najpierwsza ła, tam najpierwsza ła”.

Melodia tej pieśni utkwiła mi w pamięci do dziś. Była to pieśń kresów południowo – wschodnich. Ponad to jeszcze polecam pieśń z kresów północnych pod tytułem „Nad Niemnem”. Po treściach zawartych w tych strofach donioskich, pięknych i bogato patriotycznych przychodzi mi na myśl Rota – Zew Wolności. Jakie to były i są nadal drogi nam ziemie rodzinne od wielu, wielu pokoleń. Szkołę Podstawową do klasy szóstej ukończyłem w Żurowie, klasę siódmodziesiątą w Bursztynie, natomiast 3 – letnią szkołę handlową w Chodorowie w roku szkolnym 1938/1939. Po ukończeniu szkoły pozostałem na gospodarstwie rolnym rodziców. W lecie 1939 roku zapisałem się do młodzieżowej organizacji „Wici”. Okres wojny i okupacji spędziłem z rodzicami w rodzinnej miejscowości Żurów. W lipcu 1944 roku wstąpiłem do odrodzonego Wojska Polskiego. Początkowo razem z żołnierzami Armii Czerwonej ochraniałem wojenną komendę Bukaczowce oraz konwój pobranych do wojska mężczyzn. W Lublinie w sierpniu zostałem umundurowany i jako żołnierz brałem udział w walkach I Armii Wojska Polskiego. Żołnierze zostali wówczas zakwaterowani w punkcie zbiorowym w byłym obozie Majdanek.

Koniec wojny zastał mnie w Berlinie. 9 maja 1945 roku był dla mnie jednym z najpiękniejszych dni w życiu. Pomimo zakończenia wojny w 1945 roku, zdemobilizowany zostałem dopiero w 1947 roku, gdyż musiałem służyć jako rocznik poborowy. Po wojnie nie wróciłem już nigdy na kresy wschodnie.

Jesienią 1945 roku nastąpiła repatriacja Zabużan i w tym czasie w transporcie została przywieziona z Żurowa moja mama oraz siostra Adela. Ojciec tuż przed repatriacją zmarł w 1945 roku. Dostałem urlop z wojska i w tym czasie odnalazłem rodzinę na obozowisku stacji kolejowej Środa Śląska. Tereny te były mocno zniszczone przez działania wojenne. Pierwsza wieś, do której trafiliśmy – Dąb – była po-

łóżona na brzegach Odry, jednak od miejsca, w którym mieliśmy się osiedlić było około 5 km do centrum wsi i do kościoła. Wtedy moja babcia Anna zwróciła się do mnie z prośbą, bym szukał jako osadnika wojskowy takiej miejscowości, w której będzie kościół. I w taki oto sposób wraz z rodziną trafiłem do Krzeszowa. Tutaj zamieszkała również moja druga siostra Maria oraz brat Władysław. Gdy tylko zobaczyliśmy, że w Krzeszowie jest kościół, a nawet dwa, i to tak piękne i tak bardzo przyciągające swoim urokiem postanowiliśmy, że tutaj właśnie rozpoczniemy nowy etap naszego życia. Musiałem jeszcze wrócić do wojska, zostawiając w Krzeszowie najbliższych. W lutym 1947 roku wróciłem do rodziny i rozpoczęłem pracę w administracji samorządowej. Na to stanowisko otrzymałem referencje z wojska. We wrześniu 1947 roku zostałem skierowany przez ZBOWiD do Chorzowa na kurs sekretarzy gminnych na okres 3 miesięcy.

25 stycznia 1948 roku zawarłem związek małżeński z Zofią Wilk, również byłą repatriantką, która przybyła do Krzeszowa z Wiśniewiec. Żona urodziła pięcioro dzieci, z czego dwoje pierwszych zmarło, natomiast od pozostałą trójki dochowaliśmy się sześciorga wnucząt – czterech wnuków i dwóch wnuczek.

Prowadziliśmy gospodarstwo rolne, poza tym pracowaliśmy zawodowo. Należeliśmy również do pierwszego krzeszowskiego chóru parafialnego. Wraz z innymi przybyłymi do Krzeszowa rodzinami zaprzyjaźniliśmy się z siostrami Benedyktynkami, które do Krzeszowa przyjechały ze Lwowa. Przyjaźniliśmy się również z księżmi i Ojcamii Cystersami, sprawującymi swoją służbę w krzeszowskiej parafii. Ówcześni krzeszowiacy udzielali się społeczne i licznie brali udział w jasełkach i innych przedstawieniach reżyserowanych i prowadzonych przez siostrę Ewangelistę. Odgrywałem rolę Króla Jana Kazimierza w sztuce pt. „Śluby Jana Kazimierza” oraz różne postaci występujące w jasełkach bożonarodzeniowych. Co roku 6 grudnia wcielałem się w postać św. Mikołaja. Udzielałem się też społecznie. Byłem prezesem koła ZBOWiD, członkiem zarządu OSP, członkiem zarządu LZS, radnym GRN w Krzeszowie oraz członkiem Prezydium GRN.

Pomimo trudów życia i nie zawsze sprzyjającego losu nigdy nie traciłem wiary i z wielką nadzieję i ufnością patrzyłem w przyszłość. Nadzieja ta, ufność, wiara i wielka miłość skierowana była ku Tej, która sprawiła, że po tak wielu trudach, mogłem przy Niej trwać wraz ze swoimi najbliższymi. Nasza Matka Boska Łaskawa z cudownej ikony dodawała mu sił, i to Ona kierowała moim losem tak, jak kieruje każdym życiem, które zostaje Jej z ufnością ofiarowane. Rodzinne strony były mi zawsze bardzo bliskie. Pamięć o kresach wschodnich i rodzinnym Źurowie starałem się zaszczepić w swoich wnukach.

Dopisek:

Tadeusz Jała, mimo silnej woli życia zmarł 15 lipca 2012 roku, dokładnie 10 dni przed swoimi 90 urodzinami. Razem ze swoją żoną Zofią przeżyli wspólnie ponad 64 lata.

– Mimo podeszłego wieku, dziadek wciąż był w pełni sił fizycznych i duchowych.

wych – wspomina Aleksandra, wnuczka Tadeusza Jały. – Od czasu wznowienia uroczystości odpustowych na Górze Świętej Anny, co roku z ogromną radością udawał się w to miejsce.



Tadeusz Jała – szósty z lewej w górnym rzędzie



Zarząd Gminny w Krzeszowie z ówczesnym Sekretarzem Tadeuszem Jała – pierwszy z prawej

Urszula Leszczyńska

Mieszkałam w Borysławiu do 1940 roku. Rok później wyjechaliśmy do Nowego Sącza, dlatego że podczas wojny w mojej rodzinnej miejscowości panował głód. Ratując nas – czworo dzieci przed głodem, mama zdecydowała się pójść po pomoc do cioci, która mieszkała na przedmieściu Borysławia. Ciocia miała ładny dom oraz działkę, na której można było hodować warzywa. Tato w tym czasie wyjechał na poszukiwanie pracy. Znalazł zatrudnienie w Nowym Sączu na kolei. Tatuś był z zawodu hydraulikiem.

My mieszkaliśmy u cioci, a coraz więcej uchodźców zaczęło napływać do Borysławia.

Pewnego razu przybiegły do nas kuzyn, który dał nam znać, że banderowcy będą w tej części miasta mordować Polaków. Był to późny wieczór, więc co mama miała zrobić? Był w domu cioci jeden niewykończony pokój – na podłodze był tylko lewar, podłoga nie była jeszcze wstawiona. Ciocia naniosła tam słomy i ja, bracia i siostra oraz mama schowaliśmy się tam. W nocy przyszli banderowcy i zaczęli



walić w okno do sieni. Ciocia wyszła i spytała ich, o co chodzi. Oni na to: „Janino, ty tu przechowujesz Polaków, wyprowadź ich!” Ciocia zaczęła prosić, błagać: „Nie ma tu żadnych Polaków, jak wybijecie szyby, to skąd w czasie wojny wezmę nowe” – krzyczała zrozpaczona. Banderowiec, który znał ciocie kazał jej wziąć do ręki ikonę i przysiąc, że w domu nie przechowuje żadnych Polaków. Ciocia była bardzo bogobojna, ale przysięgła. W 1958 roku ciocia przyjechała z Borysławia do Krzeszowa. Po przyjeździe poszła do spowiedzi i ksiądz jej powiedział, że nie ma grzechu, bo przez ten czyn uratowała ludzi.

Po tej ciężkiej nocy uciekliśmy do centrum miasta i zamieszkaliśmy w naszym starym mieszkaniu. Tato przebywający w Nowym Sączu przyjechał nas odwiedzić. Gdy usłyszał, w jakim niebezpieczeństwie byliśmy, bardzo się zmartwił, ale musiał wracać do pracy. Niemiec, który był przełożonym taty na kolei, zauważył, że tata chodzi smutny. Kiedy dowiedział się o niedolach naszej rodziny, dał tacie urlop i poradził mu, aby ten jak najszybciej przywiózł swoją rodzinę do Nowego Sącza. Ojciec postąpił tak, jak doradził mu jego szef.

Jechaliśmy do Nowego Sącza pociągiem osobowym z całym naszym dobytkiem. Nie wiedzieliśmy co robić, nie mieliśmy pojęcia gdzie zamieszkamy w nowym miejscu. Wysiedliliśmy z pociągu i pierwszą noc spędziliśmy w baraku koło dworca kolejowego w Nowym Sączu. W baraku były drewniane łóżka z drewnianymi zagłówkami. Ale strasznie pogryzły nas pluskwy. Mieliśmy całe czerwone ręce. Mama zostawiła nas ze starszym bratem, a sama poszła szukać jakiegoś mieszkania dla nas.

Bardzo długo chodziła, aż wreszcie na ulicy Zielonej napotkała panią Krzysińską. Kobieta współczuła mamie, więc zaprosiła ją do siebie oddając jeden pokój. Mama nas przyprowadziła i spaliśmy tam na siennikach w pięciu, bo ojciec spał na kolei, gdzie pracował. Na drugi dzień pani Krzysińska poszła z mamą szukać dla nas dachu nad głową i razem, szczęśliwie go znalazły.

Był to drewniany dom, w którym w jednej części mieszkało dwoje starszych ludzi o nazwisku Wiewióra, a druga część była pusta. Szczęśliwi zamieszkaliśmy w tym domu, obejmując w posiadanie kuchnię, pokój i dużą oszkloną werandę. Mieszkaliśmy tam od 1941 do 1945 roku. W pierwszym roku pobytu w Nowym Sączu, na jesieni, poszłam do szkoły im. Hoffmana, gdzie mogłam pobierać lekcje również w języku polskim. Do drugiej klasy chodziłam już bliżej domu, do szkoły im. Tadeusza Kościuszki

Po zakończeniu wojny ojciec pojechał na ziemie odzyskane. Dostał prace na stanowisku komendanta w Gorzeszowie. Tato znał niemiecki, był fachowcem i był bardzo dobrym człowiekiem. Zaraz potem razem z mamą przyjechaliśmy i my. Tato mógł wybrać dom jaki mu odpowiadał.

Gdy przyjechałam do Gorzeszowa miałam 10 lat. Mama gotowała, a młoda Niemka nas pilnowała. Kapała i ubierała. Była bardzo miła. W 1946 przyszło wysiedlenie i już nigdy więcej nie mieliśmy kontaktu z tą Niemką. Po wysiedleniu Niemców przeprowadziliśmy się do większego domu.

W Gorzeszowie była mała szkoła podstawowa i tam właśnie skończyłam 7 klasę. Potem uczyłam się w gimnazjum w Kamiennej Górze w budynku, gdzie teraz mieści się szkoła podstawowa nr 1. Po skończeniu gimnazjum zostałam w domu przy rodzicach.

W 1953 roku wyszłam za mąż za Józefa Leszczyńskiego, którego poznalałam w czasach szkolnych. Dojeżdałam już wtedy do szkoły w Kamiennej Górze i codziennie przechodziłam obok domu, w którym mieszkam obecnie. A Józef chodził do szkoły do Sobieszowa. I tak często razem wracaliśmy ze stacji w Krzeszowie.

Raz poszłam z bratem na zabawę do Domu Kultury w Krzeszowie i zobaczyłam na niej Józefa. Chciałam z nim zatańczyć, poprosiłam więc brata żeby to załatwił. Józef przyszedł i poprosił mnie do tańca, potem były kolejne. To był dobry początek naszej znajomości. Po kilku miesiącach przyszedł do mojego domu i poprosił mojego tatę oraz moją mamę o moją rękę. Mama powiedziała, że jestem jeszcze taka młoda, a tato nie miał nic przeciwko. Decyzję pozostawił mi. Ślub wzięliśmy w roku 1953 w Gorzeszowie – cywilny w marcu, a kościelny w lipcu. Miałam na sobie piękną białą suknię i trzymetrowy biały welon.

W tym samym dniu w domu Józefa było wesele jego siostry a w moim nasze. Rodzice Józefa byli na weselu swojej córki, a my jadąc do Gorzeszowa odwiedziliśmy ich i wtedy złożyli nam życzenia.

Józef zdawał maturę w maju, później dostał nakaz pracy na Śląsku. Tam prowadził zajęcia z Księgowości Rolnej, a ja tam pracowałam w GS. Mieliśmy tam jeden pokój i nam wystarczyło. Tam w 1954 roku urodził się nam pierwszy syn – Krzysztof. Józef dostał propozycje wykupienia połowy domu i dalszej pracy na Śląsku. Ja chciałam być niezależna i zostać tam, ale jego matka namówiła go na powrót do Krzeszowa. Wróciliśmy więc i zamieszkaliśmy z teściami. W ciągu 5 lat urodziłam 3 synów – ostatniego w roku 1957. Wychowałam też dwie córki siostry męża. Ciężko pracowałam na gospodarce.

Mój mąż urodził się niedaleko Stanisławowa. Tam jego rodzice wybudowali dom z zabudowaniami gospodarczymi i założyli sad. Żyło im się dostatnio, aż nastąpiła zawierucha wojenna. Pewnego dnia zostali ostrzeżeni, że będą mordowni Polacy, więc spakowali najpotrzebniejsze rzeczy na wóz i ruszyli na stację kolejową, gdzie wsiedli do pociągu do Nowego Sącza. Przyjechali do Piątkowej, bo szwagier mojej teściowej stamtąd pochodził. Pracowali w tamtejszych gospodarstwach, a ponadto Józef z ojcem naprawiali buty. W 1945 roku przyjechali z Nowego Sącza do Krzeszowa. Nocowali w szkole w Krzeszowie. Przyszli wojskowi i zabrali teścia z resztą rodziny na gospodarstwo, gdzie z marszu musieli nakarmić liczne bydło, bo głośno ryczało. W gospodarstwie Niemców nie było, na pewno opuścili go ze strachu przed Polakami. Byli to bogaci gospodarze, bo zabudowania były zadbane z pełnym zestawem maszyn rolniczych i dorodnym bydłem w oborze.

Pracując wiele lat na tym gospodarstwie z teściami, a później tylko z małżonkiem staraliśmy się wspólnie z moimi synami utrzymać jego dobrą kondycję.

Mieliśmy w życiu też sporo przyjemności. Mój mąż Józef nie opuścił żadnej

zabawy. Uczestniczyliśmy więc w każdej imprezie organizowanej w Krzeszowie. Pamięć o tym miłych chwilach towarzyszy mi po śmierci męża i dodaje energii do czynnego trybu życia.

Irena Lorek

Urodziłam się w 1926 roku w Dewergach koło Nowogródka. Jestem córką Apolonii i Edwarda. Moja mama była wyznania greko-katolickiego, pamiętam jak z babcią chodziłam do cerkwi. Jak mama wychodziła za mąż za Polaka, przyjęła wiarę rzymsko-katolicką.

Jak zaczęła się wojna miałam 13 lat. Pamiętam okropny turkot samolotów i zrzucane bomby. Zabrali mnie na roboty do Niemiec, kiedy miałam zaledwie 15 lat. Była łapanka w naszej wsi, zgarnęły chyba 7 osób, wśród nich byłam ja. Zwieźli nas do Bauera – gospodarza na wsi gdzieś w Sudetach. Później okazało się, że byłam około 60 kilometrów od Krzeszowa. Pracowaliśmy ciężko przez trzy lata, ale nie narzekałam.

Pracując w oborze utrzymywałam w czystości krowy, szczotkując je, myłam chodnik. Niemka nauczyła mnie doić krowy. W rodzinnym domu była tylko jedna krowa, zajmowała się nią wyłącznie moja mama.

Pracowaliśmy ciężko według niemieckiego porządku. Obowiązywał następujący grafik: o godzinie 6.00 wstawałam i szłam do pracy. O 10.00 mieliśmy przerwę na śniadanie, po niej wracałam do pracy. O godzinie 13.00 jedliśmy obiad, a o godzinie 16.00 podwieczorek. Z pola na kolację schodziło się o 18.00. Nikt nie pracował dłużej. Po ostatnim posiłku mieliśmy czas wolny. Gospodarze i robotnicy chodzili wtedy nawet do gospody na piwo.

Wśród naszej trójki młodych był Ukrainiec i „prawdziwy” Rosjanin. Pewnej niedzieli poszliśmy razem do kościoła. Kiedy zagrały organy, ten Rosjanin zaczął tańczyć, był zdziwiony, że nikt nie poszedł w jego ślady.

Zapamiętałam, że w Niemczech nikt z pola po zakończonej pracy nie zabierał narzędzi, maszyn do zagrody. Zabierano wyłącznie zwierzęta. Jak przyjechaliśmy do Krzeszowa i zamieszkaliśmy z Niemcami, to tutejsi mieli ten sam zwyczaj. Kiedy pojawiły się Polacy wszystko zaczęło ginąć. Pamiętam, jak mąż kupił grabarkę. Ledwo postawił i już jej nie było.

Pierwsi pojawiili się Rosjanie, a dopiero później przyszli Polacy. Było wielkie zamieszanie. Teraz sobie myślę, że nie musiałam się tak spieszyć z wyjazdem z Nie-



miec, do tej wielkiej naszej biedy, którą jak nastolatka miałam w pamięci. Ale bałam się, bo Rosjanie byli bardzo agresywni w stosunku do wszystkich młodych dziewcząt, bez względu na narodowość

U tego samego gospodarza w oborze pracował Polak o imieniu Stanisław. Po chodził z Sądecczyzny. Opiekował się m.in. końmi, które bardzo kochał i dbał o nie nadzwyczaj. Był starszy ode mnie o 14 lat. Wieczorami spacerowaliśmy, rozmawialiśmy o naszych rodzinnych stronach, chodziliśmy wspólnie do kościoła. I tak się zaczęło. Staszek bardzo dużo przeszedł, kilka razy próbował uciekać z robót. Został złapany i osadzony w lagrze. Woził trupy do pieca gazowego. Pewnego razu Niemcy złapali wszystkich mężczyzn i zawieźli na pokazową egzekucję Polaka. Powieszono go za nieprzestrzeganie zakazu kontaktowania się z niemieckimi kobietami.

Moje koleżanki wyjechały zaraz po zakończeniu wojny. Mnie nie było spieszno wracać do rodzinnej wsi. Co mnie tam dobrego mogło spotkać? Tylko bieda. A w Niemczech poznałam inne życie, które mimo ciężkiej pracy było lepsze w oczach niedojrzałej dziewczyny.

Po jakimś czasie Staszek oświadczył mi się, a ja z radością je przyjęłam, bo wiódziałam w moim przyszłym mężu oparcie, obronę i szansę na lepsze, wspólne życie. Ślubu udzielił nam ksiądz narodowości czeskiej w Niemczech. Nasz związek był ważny. W Polsce nie musielibyśmy ponownie stawać na ślubnym kobiercu.

Na ziemię odzyskane pociągiem towarowym wyruszyłam już jako szczęśliwa mężatka. W drogę do rodzinnej wsi małżonka – Mokrej – zabrałam tylko tobołki z ubraniami. Pamiętam tragiczne zdarzenie na stacji w Krakowie. Tłum wracających z robót, przemieszanych z jadącymi na ziemię odzyskane. Pełno żołnierzy rosyjskich, patrolujących dworzec. Jeden z tych żołnierzy zauważył na ręce podróżującego Polaka zegarek. „Dawaj czasy” – krzyknął. Polak się opierał, więc żołnierz go na naszych oczach zastrzelił, zabierając zegarek. Okropne czasy to były.

Przyjechaliśmy do Starego Sącza pociągiem, a dalej szliśmy pieszo. Po drodze mijaliśmy miejscowych idących na targ, by sprzedać jajka, kury. Byłam zaskoczona widokiem tych umęczonych biedaków, szli boso, mieli zniszczone ubrania, produkty do sprzedania niesli na plecach w workach. U nas koło Nowogródka też była bieda, ale nie aż taka. Ta wojna przekleiła tak bardzo wyniszczyla naród polski.

W Mokrej Wsi, gdzie mieszkała siostra mojego męża też było skromnie. Zostaliśmy przyjęci serdecznie i z radością w skromnej małej izdebce. Jedliśmy ze wspólnej miski wielkimi, drewnianymi łyckami zacierkę razową na kwaśnym mleku. Trochę się dziwiłam, bo w moich rodzinnych stronach mama robiła ją, ale ze słodkiego mleka.

Był rok 1945. Kilka dni mąż wykonywał dorywcze prace u sąsiada, za jedzenie. Spotkał się ze swoim bratem i zdecydowali się jechać na ziemię odzyskaną, by tam znaleźć swój nowy dom. Byliśmy młodzi, nie mieliśmy nic do stracenia, a dużo do zyskania, gdyby dopisał nam lutt szczęścia.

Jechaliśmy wagonami towarowymi, wszyscy bez bagażu. Ja z małżonkiem byli-

śmy bogatsi o tobołki z ubraniami przywiezionymi jeszcze z robót w Niemczech. W Kamiennej Górze skierowano nasz wagon na Krzeszów. Szliśmy dosyć długo do pieszo, z daleka cały czas widać było dwie wieże kościołne.

Wybraliśmy sobie taki mały domek, nie mieliśmy dzieci ani dużych wymagań, więc uważaliśmy, że nam wystarczy. Gdy do niego weszliśmy zmęczeni był pusty, nie było jego gospodarzy. Zarówno kuchnia, jak i jedyny pokój były czyste i zadbane. Pokoik wyposażony był w niezbędne sprzęty: łóżko, kanapę, dywan. W stajni była krowa i króliki. Gdy tak odpoczywaliśmy po długiej podróży wszedł nagle bardzo wysoki, szczupły mężczyzna – Niemiec. Okazało się, że był to właściciel tego domu, więc zamieszkaliśmy wspólnie. Nie trwało to jednak długo. Niedługo po tym przyszedł sołtys Barczyk i zaoferował nam swój aktualny dom, bo sam przenosił się w inne miejsce. Nie bardzo miałam ochotę na przeprowadzkę, ale wspólnie z mężem zdecydowaliśmy się jednak skorzystać z okazji, bo ten zajęty przez nas domek byłby w przeszłości dla młodych za ciasny.

W tym czasie stacjonowało we wsi rosyjskie wojsko w budynku, gdzie zamieszkali później Pazganowie. W rozmowach okazało się, że żołnierze byli z moich rodzinnych stron. Przez pocztę polową wojskową wysłałam list do mojej mamy. Dzięki dobremu sercu tych Rosjan moja mama mnie odnalazła i dowiedziała się że żyję i jestem mężatką. Ci sami Rosjanie jak napili się bimbru, dostawali małpiego rozumu istawali się bardzo niebezpieczni, bo przecież mieli broń ostrą. A ciągle szukali tej gorzały. Pewnego razu przyszli pijani do naszego domu, złapali mego męża za poły koszuli i wrzeszczały: „po co ty zabrał naszą ziemiaczkę, ona nasz” i przystawiali mu do głowy pistolet. Po prośbach i tłumaczeniach z mojej strony skończyło się tylko na strachu.

W naszym nowym domu, w którym mieszkam do dnia dzisiejszego, żyliśmy spokojnie parę dni sami, aż pewnego dnia pojawiły się jego niemieccy gospodarze: mężczyzna i dwie Niemki. W oborze było cztery czy pięć krów, dwa woły do robót w polu, były wszystkie maszyny rolnicze, ale starego typu. Przez rok gospodarzyliśmy zgodnie wspólnie, razem pracowaliśmy w polu, razem spożywaliśmy posiłki, mimo że na zebraniu wiejskim ostrzegano nas przed zemstą ze strony Niemców. Zakazywano, by broń Boże nie jeść ich potraw. Na szczęście nic złego z ich strony nas nie spotkało.

Pamiętam, jak te dwie Niemki, które mieszkały na strychu w naszym domu, musiały uciekać nocą przed prześladowaniem pijanych rosyjskich żołnierzy. Skakały przez ono w popłochu, przed gwałtem.

Rosjanie, gdy nie byli pijani, byli nawet przyjaznymi ludźmi. Wspominam jednego z nich – Iwana, który nauczy mnie robić ruskie pierogi, bo ja takiej potrawy nie jadłam w naszych rodzinnych stronach. Pamiętam też wspólne kolacje w gronie niemieckich współgospodarzy: obieraliśmy ziemniaki ugotowane w mundurkach, nakładaliśmy na kawałki obranego ziemniaka ser i masło. To było coś pysznego. Zarówno na robotach w Niemczech, jak i już w Krzeszowie, jedliśmy zacierkę na mleku, tylko nie rozgryzłam z jakiej mąki.

Powoli wszystko normalniało, poczułam się gospodynią we własnym, bezpiecznym domu. Było w Krzeszowie dużo młodych ludzi. Zżyliśmy się, bywaliśmy na prawie każdym weselu czy chrzcinach, było niezbyt bogato, ale lepiej niż w naszych rodzinnych stronach.

Urodziłam czworo dzieci: trzech synów i córkę. Wszystkie żyją, mają szczęśliwe rodziny, a ja doczekałam się wnuków, które bardzo kocham. Nie odwiedziłam nigdy swoich rodzinnych stron koło Nowogródka. Może jeszcze Bóg da, że pojadę w tę sentymentalną podróż.

Od sześciu lat jestem wdową. Mój mąż zmarł w wieku 92 lat. Z perspektywy wspólnie przeżytych lat mogę ocenić moje życie jako udane, nigdy nie żałowałam mojego przypadkowego przyjazdu właśnie do naszej wsi Krzeszów. Moje serdeczne sąsiadki, obok których mieszkam od 1945 roku – Aniela Oleksy, a od 1950 roku – Janina Oleksy, wspierały mnie i pomagały. Z satysfakcją mogę powiedzieć, że nigdy się nie pokłociłyśmy. Nie możemy się wspólnie pogodzić z odejściem naszej czwartej towarzyszki życia po sąsiedzku – wspaniałej kobiety – Pani Bału-szyńskiej.

Małgorzata Nowak

Urodziłam się 13 maja 1931 roku w Boguszowej na Nowosądecczyźnie. Do Krzeszowa przyjechałam w 1951 roku za pracą. Tutaj mieszkali również moi znajomi z rodzinnych stron.

W maju 1953 roku Krzeszowie poznałam mojego przyszłego męża Józefa, który przyjechał w te strony do swojej siostry Hanny Homonick i kuźnów – Józefa i Kazimierza Nowaków. Już w listopadzie tego samego roku zawarliśmy związek małżeński, najpierw kościelny, a później w gminie w Krzeszowie. Wesele odbyło się u siostry Józefa, Hanki. Było na nim około 50 osób, wśród nich rodzice męża, sąsiedzi i rodzina z Krzeszowa. Później zamieszkaliśmy na swoim, w domu, który wówczas miał numer 267, później 181, a dziś znajduje się przy ulicy Młyńskiej 2.

Józef pracował w straży przemysłowej Jedwab Kamienna Góra, później w „Obuwiu”, a jeszcze później na Cegielni w Krzeszowie. Ja z kolei pracowałam w Mieroszowie w roszarni przy Inie. Później miałam dłuższą przerwę od pracy zawodowej, a następnie zatrudniłam się podobnie jak mąż na Cegielni. Poza tym pracowaliśmy również na roli. Mieliśmy jedna krowę, trochę drobiu.



Urodziłam pięcioro dzieci – trzech synów i dwie córki. Jedna z nich, Ania, zmarła w wieku trzech lat. Bardzo to przeżyłam. Nie miałam wsparcia wśród najbliższych. Dużo pomocy i zrozumienia uzyskałam od sąsiadów Polaków i od Niemki imieniem Rabe, która była matką chrzestną jednego z naszych dzieci. Po dzień dzisiejszy jestem jej wdzięczna, miała dla nas tyle serca. Była przy mnie, kiedy rodziłam jednego z synów, w domu. Był silny mróz, który trzymał przez dwa tygodnie. W domu był jeszcze mój 1,5 roczny syn, męża nie było. Mieszkanie ogrzewał tylko mały piecyk. Przy porodzie była akuszerka. W domu nie było wodociągu ani ubikacji. Woda była w studni, parę metrów od domu. Pieluchy prałam ręcznie na tarce, a w lecie w rzecze.

W tamtych czasach, czyli w latach 50-tych w sklepach nie było niczego. Każdy musiał sam wyprodukować sobie żywność. Było też tak, że każda sztuka bydła, drobiu czy trzody, musiała być zgłoszona do urzędu gminy. Jeżeli ktoś chciał zabić np. Świnię, musiał uzyskać zezwolenie. Józek kupił wieprza i zabił bez uzyskiwania zgody gminy. Mięso z uboju schował u sąsiadów. Pomimo wszelkich starań dzielnicowy i tak dowiedział się o nielegalnym uboju, znalazłszy ślady krwi w stodole. Mąż przyznał się do stawianych mu zarzutów. Sędzia Wiśniewski skazał go na 6 miesięcy więzienia w Wojcieszowie. Tam mąż pracował w kamieniołomach. Część zarobionych pieniędzy wysyłał mi i dzieciom. Józek zabił tą świnę, aby rodzina miała co jeść. Sędzia nie wziął pod uwagę, że miał na utrzymaniu żonę i troje dzieci.

Stanisława Mika

Urodziłam się w Paszynie koło Nowego Sącza w 1924 roku. Tam skąd pochodzę panowała niesamowita bieda. Kiedy przyjechałam do Kamiennej Góry zdawało mi się, że to kraj mlekiem i miodem płynący – piękna szosa, równiutkie rowy, zadbane, wykoszone.

Na Nowosądeckim razem z moim przyszłym mężem Stanisławem, mieszkaliśmy w sąsiedztwie. Spodobałam mu się chyba dlatego, że miałam ładne warkoczyki. Za Mirkę wyszłam, kiedy miałam 19 lat. Kiedy skończyłam 21, urodziła się nasza pierwsza córka. W posagu otrzymałam gospodarstwo w Paczynie, ale się go zrzekłam. Opłaciłam wszystkie koszty i dałam rodzinie pieniądze na świnie, żeby je sobie



chowali. W czerwcu 1945 roku mąż przyjechał do Kamiennej Góry. Stamąd złapał furmankę, która woziła mleko od gospodarzy z Krzeszowa. Ja na zachód przyjechałam miesiąc później. Podróż z Nowego Sącza trwała 2 dni. Jechałam z 3-letnią córeczką – Jaśką. Przejazd był darmowy – mój brat w Nowym Sączu wydawał zapotrzebowanie, dlatego kiedy chciałam jechać, dostałam skierowanie. Kiedy byliśmy już w Krzeszowie, mąż zapytał mnie:

Który dom ci się podoba? Może tamten na górcie?

Nie, bo podkuwany słomą jest, a w Paszynie to samo było. O ten dom jest ładny, ten mi się podoba! – odpowiedziałam. Kiedy wjechaliśmy na podwórkę wskazanego przeze mnie domu, dostrzegliśmy dwóch ruskich. Zapytałam męża, co oni tutaj robią. Staszek kazał mi się jednak uciszyć i się nie odzywać. Okazało się, że ruscy trzymali tam swoje konie. Gospodarstwo było piękne, lecz nieogrodzone. Mieszkało w niej dwoje Niemców – małżeństwo po tragediach rodzinnych. Ich jedyny syn zginął w Krakowie podczas wojny, a córka zwariowała, więc ją stracili Niemcy we Wrocławiu. Zamieszkaliśmy z nimi – my w pokoju na górze, oni na dole. Jakoś się dogadywaliśmy. Właściciele gospodarstwa szanowali mojego męża, bo znał język niemiecki. Stanisław przed wojną jeździł do Niemiec do roboty. Ostatni raz był w 1938 roku. W 1939 też miał jechać, jednak wstrzymali skierowania – już szykowali się do wojny. W gospodarstwie nie mieliśmy wody. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy wodę od sióstr Elżbietanek. Wcześniej nosiliśmy ją z potoku. Strasznie się z tym męczyłam, bo to wszystko było na mojej głowie. Mąż zajmował się czym innym – ludźmi, udziałem w życiu społecznym wsi. Ledwie żeśmy przyjechali do Krzeszowa, a mojego męża zrobili sołysem. Przed nim funkcję tę pełnił Barszczyk, ale nie umiał się porozumieć z Niemcami, którzy mieszkali tutaj w latach 1945-1946.

Mój mąż, już jako sołtys wysiedlał Niemców z tych ziem. Niemcy mogli zabrać ze sobą wyłącznie rzeczy osobiste, które mieściły się w walizkach. Cały pozostały dobytek zmuszeni byli zostawić. Ci którzy chcieli, mogli zostać. Na przykład nasi niemieccy gospodarze wyjechali dopiero, kiedy urodził się mój syn – ostatniego dnia sierpnia 1949 roku. Kiedy przyszli się pożegnać, Niemiec głaskał mojego synka i płakał nad swoimi dziećmi, które stracił. Jednocześnie Stanisław meldował tutaj ludzi, którzy przyjechali do Krzeszowa zza Buga. Sołysem był przez trzy lata, potem zrezygnował, bo go prześladowali, nazywali kułakiem, bo sobie dał wóz drewniany zrobić. W dodatku bezpieka naciskała męża, żeby donosił, a on nie chciał. Zapytałam go kiedyś, dlaczego tak łazi po nocach i on się wtedy przyznał, że go prześlądują i mu grożą, że jak się nie zgodzi, to mu coś zrobią. Na zebraniu wiejskim jako sołtys bronił rolników. Po spotkaniu funkcjonariusze bezpieki zgarnęli go. Kierowca, który go wiózł był pijany i spowodował wypadek. Jak czekali na karetkę, mąż skorzystał z okazji i uciekł. Przez 3 dni siedział w lesie, bo się bał, że go zabiją. Podczas przesłuchań na UB mąż musiał nosić gazetę trzymać. Ile tam innych osób zginęło bez śladu, tego nie wiadomo. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, nawet dzieciom. Miałam przez męża zakazane – w naszym domu nie można

było powiedzieć nic o SB i o ruskich.

Po Stanisławie sołysem zostałem ja. Pełniłam tę funkcję przez rok. Musiałam zrezygnować. W tym czasie urodziłam bowiem Kamilę – naszą czwartą córkę i nie dawałam rady pogodzić roli matki z funkcją sołtysa. Najstarsza córka szła wtedy do szkoły, najmłodsza leżała w becikach, trzeba było zająć się bydlem, do tego praca w domu i polu, przy burakach cukrowych. W każdą sobotę miesiąca piekłam chleb w piecu chlebowym, podpłomyki i ciasto drożdżowe, żeby dzieciom nie brakowało jedzenia. Co piątek z kolei w maśniczce robiło się masło. W pierwszych latach po przyjeździe na ziemie odzyskane mile wspominam sobotnie wieczory, kiedy przychodzili do nas licznie sąsiedzi i wspólnie przy kielichu rozmawialiśmy i śpiewaliśmy pieśni patriotyczne. Po czasie mąż kupił maszyny – pracowało się dużo iżej. Zajęliśmy się uprawą i sprzedażą Inu. Rowerem jeździłam na targ, sprzedawałam ziemniaki, zboże, nabiał. Dopiero wtedy, w latach 1976-1977, po tylu latach ciężkiej pracy poprawił się nam byt. Kupiliśmy meble, od męża dostałam motorynkę, którą jeździłam na targ.

Mąż pracował też w lesie. Miał cztery kłacze. W jednym poniemieckim i dwóch wybudowanych przez Stanisława chlewach hodowaliśmy świnie dla własnych potrzeb. Biliśmy je 2, a nawet 3 razy do roku. Chowaliśmy też 300 kur, 100 kaczek i kozę. Było koło czego robić. Kiedy ocieila się nasza czarna, jeszcze poniemiecka krowa, syn musiał cielaka przywieźć do domu na tacze. Ale była atrakcją!

Najlepiej z pierwszych lat pobytu w Krzeszowie wspominam udział w szkolnych przedstawieniach, wieczorne próby. Mój mąż był bardzo towarzyski. Lubił pośpiechać, w knajpach (np. W Willmannowej Pokusie) siedział nawet do czwartej rano. Lubił pogadać, pożartować.

Aniela Oleksy

Urodziłam się 10 października 1919 roku w Paszynie – miejscowości w Nowosądeckim. Chodziłam do czteroklasowej szkoły – w trzeciej i czwartej klasie byłam po dwa lata (klasy były łączone, po dwa roczniki). Pamiętam jak w pierwszej klasie uczyliśmy się śpiewać piosenkę „Ciku, ciku”. Nasza nauczycielka, która uczyła nas wszystkich przedmiotów w trzeciej i czwartej klasie, również przyjechała z nami na ziemie odzyskane w 1945 roku. Nazywała się Gajdosz, bardzo była szanowana i lubiana przez dzieci i rodziców.

Dorastałam, jak większość dzieci w mojej rodzinnej wsi, w biedzie i niedostatku, ale w otoczeniu wielkiej miłości rodziców.



Czułam się bezpieczna i kochana.

Wyszłam za mąż za chłopaka z mojej wsi. Miał na imię Pietrek. Był rok 1944. Nie mieliśmy własnego mieszkania, przyjęła nas pod swój dach moja siostra, dla której pracowałam w jej gospodarstwie za wyżywienie i dach nad głową.

Szansa wyjazdu na ziemie odzyskane po zakończeniu II wojny światowej, dla naszego pokolenia z sądeczyny, była jedną możliwością zdobycia samodzielnego mieszkania, pracy, polepszenia swojego losu i warunków życia. Jechali na zachód nasi bliscy i znajomi, więc pojechaliśmy również my. Nie zabraliśmy w podróż żadnych rzeczy, bo nie do końca wierzyliśmy, że uda się nam osiedlić. Po czasie wróciłam do Paszyna po nasz skromny dorobek. Jechaliśmy na dachu wagonu, bo tak ludzi było, że do środka nie można było wejść. Droga powrotna była piekielnie męcząca.

Jechaliśmy w wagonie bydlęcym 3 dni. Wybraliśmy Krzeszów dlatego, że tutaj mieszkali już nasi znajomi z tej samej sądeckiej wsi – Pogwizdy. Posiedzieliśmy u nich kilka dni, aż sołtys Jan Barczyk przydzielił nam nasze własne miejsce. Był to budynek z zagrodą, w którym mieszkam do dnia dzisiejszego. Na dobry początek dostaliśmy też jedną krowę, konia i 8 hektarów ziemi. To było dla nas bardzo dużo. Później przez całe życie dorabialiśmy się.

Budynek, który nam przydzielono miał swoich właścicieli – niemieckie małżeństwo z dwoma dorosłymi synami, którzy byli kawalerami. Jeden chłopiec mówił trochę po polsku, pozostali nic. Jak coś do niego mówiłam to powtarzał „Aniela pomału, Aniela pomału”. Chętnie uczył się języka polskiego. Wzajemnie dobrze się traktowaliśmy, chodziliśmy razem wykonywać prace w polu. Na co dzień był taki niepisany układ, że Niemcy byli dalej gospodarzami, a my tylko im pomagaliśmy. Wszystkim zarządała ta stara Niemka. Jej mąż pracował w lesie przy wrębie i obróbce drzewa. Wszyscy czworo opuścili gospodarstwo i wyjechali w maju 1946 roku.

Mój mąż Pietrek proponował młodemu Niemcowi, aby został z nami w Krzeszowie, gdzie się urodził. Ten jednak nie wyraził takiej ochoty. Ja go rozumiałam, jadąc w nieznane chciałam wspierać swoich rodziców i brata. „Wiem, że w kupie jesteśmy silniejsi i razem więcej wytrzymamy” – mawiał. Jak wyjeżdżali zabrali co chcieli. Uważam że mieli takie prawo, bo sobie na to zapracowali.

Po wyjeździe pisali do nas listy w języku niemieckim. Był jednak problem ze zrozumieniem treści, a później odpowiedzią. Nie było czasu ani możliwości, by uczyć się języka, więc kontakt się urwał. Po wielu latach ci młodzi niegdyś chłopcy odwiedzili nas. Było to bardzo miłe spotkanie, na pamiątkę którego pozostała fotografia. Czasem nawet do niej zaglądam.

Nie wspominam jakiś przykrych momentów z wspólnego mieszkania z Niemcami. Co innego, kiedy w Krzeszowie przebywali jeszcze Ruscy. Chodzili po całej wsi, zachowywali się hałaśliwie, zabierali często samowolnie, co im było potrzeba do gospodarstwa, albo sprzedawali swoje przydziały wojskowe za samogon. Pewnego razu przeszedł do nas na podwórko jeden Rusek. Był to w roku 1945,

kiedy nasza Niemka była jeszcze gospodynią. Po podwórku biegał kogut, żołnierz wyciągnął pistolet i go zastrzelił. Ta Niemka bardzo płakała za zabitym kogutem. Podobnie, jak wtedy, kiedy wyjeżdżała z Krzeszowa. Ten wspólny rok z Niemcami to dobre doświadczenie dla młodej dziewczyny z sądeckiej wsi. Udowodniłam sobie, że potrafiłam mimo wszystko współpracy z wrogiem.

Kiedy w 1945 roku przyjechałam do Krzeszowa byłam w ciąży z pierwszym dzieckiem. Później przychodziły na świat kolejne. Urodziłam ich siedmioro. W czasach powojennych był to standard. Wszystkie dzieci odbierała położna w domu. Ostatnie dziecko urodziłam gdy miałam 44 lata, a mąż 52. Było to w 1962 roku. Wtedy na świat przyszła moja córka Ania. Mówię na nią wyskrobek. Mieszkam z tym wyskrobkiem, serdecznie opiekuję się mną, dzięki niej nie czuję się na starość samotna. Mimo ciężkiej pracy, takiego codziennego kieratu, nie chorowałam. Dopiero w wieku 64 lat dostałam wylew. Aktualnie dolegliwości moje związane są z moim zaawansowanym wiekiem.

W naszym domu zawsze było dużo ludzi, chętnie nas odwiedzali. Również często przyjeżdżali do nas nasi krewni z Sądecczyzny. Do wykarmienia było swoich dziewięciu i jeszcze przytulanych z rodziny, dopóki nie znaleźli własnego kąta. Dobra ciotka Aniela przyjmowała wszystkich potrzebujących. Jedzenie w pierwszych kilkunastu latach po osiedleniu nie było wytworne. Mięso jadło się tylko wtedy, kiedy zabiło się świnie czy ciele, a bito u nas przeważnie na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc. W kuchni dominowało proste jedzenie, przaśne i zdrowe. Wśród nich kluski z ziemniaków lub kluski na prozie. A do tego kwaśne mleko – puchota. Kury zjadaliśmy tylko te stare, które już nie niosły jaj. Młode szły na sprzedaż.

Jestem wdową od 1982 roku, a więc trzydzieści lat. Do jubileuszu srebrnych godów zabrakło nam niewiele. Męża kochałam bardzo przez nasze wspólne życie, bo był dla mnie dobry.

Nigdy nie żałowałam i nie żałuję, że opuściłam swoje rodzinne strony. Ostatni raz byłam w rodzinnych stronach dwa lata temu. Przyjemnie jest odwiedzić stare kąty, ale wiem, że mój dom jest w Krzeszowie.

Dobrze wspominam te trudne, pierwsze i kolejne lata na własnym gospodarstwie. Wspólnie z mężem ciężko pracowaliśmy, on jeszcze dorabiał w RSP. Ja nigdy nie pracowałam w fabryce. Sprzedawało się na targu i do skupu wszystkie płody rolne, trzeba było codziennie nakarmić i posłać do szkoły siedmioro dzieci. Na gospodarce trzeba było oporządzić i nakarmić cały żywą dobytek, iść do prac polowych. Nie było czasu iść na zabawę. Rozrywką dla mnie było wyjście na wesele. No i oczywiście przedstawienia organizowane przez ojców Cystersów i siostry Benedyktynek. Chodziła na nie cała wieś. Mój mąż brał w nich czynny udział, jako aktor. Ja nie grałam, bo było więcej chłopów trza było. Z wielką dumą razem z dziećmi oglądaliśmy te występy. Odbywały się one w dzisiejszym Domu Kultury, w kościele, u Szczeciny, gdzie była wielka sala widowiskowa.

Mamy rok 2012, a ja cieszę się i dziękuję Bogu, że daruje mi każdy kolejny rok

wśród dobrych moich dzieci i życzliwych sąsiadów. Do kościoła na niedzielną mszę świętą dowozi mnie córka Anna samochodem, bo sił coraz mniej.

Florian Rzeszutek (pseudonim Lolek)

Urodziłem się w 1925 roku w Wiśniowcach. Dziadek Marcin Rzeszutek mieszkał w powiecie Kolbuszowa, wioska Lipnica. Tam posiadał małe gospodarstwo rolne. Będąc człowiekiem odważnym i przedsiębiorczym wyemigrował na tereny wschodnie na tzw. Pokucie. Były to terytoria bardzo słabo zagospodarowane, drogi błotniste, nieprzejezdne. Właścicielem m.in. ogromnych połaci lasów, setek hektarów ziemi ornej, huty szkła był Żyd o nazwisku Bodnar. Chcąc ożywić gospodarczo swoje włości, część swoich lasów rozparcelował na działki, sprzedając przybyszom z rzeszowskiego, którzy kupowali po kilka lub kilkanaście morgów. Za sprzedane gospodarstwa w rzeszowskim mogli pięciokrotnie więcej kupić lasu. Były to stuletnie lasy świerkowe. Lasy te karczowali metr po metrze, by dorobić się uprawnej ziemi. Pracowali również w mroźną zimę, aby jak najszybciej wybudować dom z uzyskanych pni świerkowych. Zanim wybudowali dom, to na zimę budowali tzw. koliby. W wykopany na głębokość pół metra dół wbijali wokół koły, wplatając w nie gałęzie. Na środku koliby było, otoczone kamieniami, palenisko, w którym palono ognisko, czuwając kolejno, by ogień nie zajął koliby.

Mój ojciec był jednym z pierwszych osadników na Łamadżynie. Nasz dom stał na początku wsi. Miał 7-hektarowe gospodarstwo rolne, dużą oborę, stodołę, drewnutnię, spichlerz kilka sztuk bydła i konia pociągowego.

Do Karpat Wschodnich z naszej wioski było około 6 kilometrów. Przed Karpatami płynęła rzeka Prut i było małe żydowskie miasteczko Łanczyn. Obok biegła piękna, twarda szosa na trasie Nadworna-Deliatyn-Kołomyja-Śniatyń. W Karpatach mieszkali górale zwani hucułami. Piosenka „Czerwony pas” rodziła się na tamtych terenach. Bo tam:

„Szum Prutu Czremuszu hucułom przygrywa” – a Czremusz to dopływ Prutu, „A ochocza kołomyjka do tańca przygrywa” – kołomyjka szybki taniec podobny do naszej polki. W drugiej zwrotce „gdy świeży liść okryje buk i Czernohora zieleśnieje” – w Karpatach były tylko lasy bukowe, a najwyższy ich szczyt to Czarnohora. Pamiętam też taką zmyślną przyśpiewkę: „Kołomyja nie pomyja, Kołomyja misto, w Kołomyi takie giłki, jak pszenne tisto”.

Nasza wioska istniała 60 lat zanim wybuchła wojna. w Wiśniowcach mieliśmy szkołę podstawową (do czwartej klasy), do kościoła chodziło się na Górnego Maj-



dan. Była to taka polsko-ukraińska wioska. Między nami panowała zgoda, a nawet pewna załyłość. Polacy żenili się z Ukrainkami, a Ukraińcy z Polkami...

W czasie okupacji wszystko się zmieniło – zaczęła się tragedia w mieszanych rodzinach. Ukraińcy masowo mordowali Polaków. Jak Polak miał za żonę Ukrainkę, to uważano ich za polską rodzinę i mordowano. Kiedy Ukrainiec miał polską żonę – zostawiano ich w spokoju. Polacy byli nie tylko mordowani, ale też torturowani i okaleczani. Zdarzało się na przykład, że człowieka piłą ręczną przecinali, albo ucinali mu język i uszy i takiego puszczaли do domu. Wszystko przez to, że Hitler obiecał Ukraińcom, że jak wymordują Polaków powstanie niezależna Ukraina (samoskijna). Kiedy przyszli Rosjanie było trochę spokojniej. Żołnierze mieli kwatery w wioskach, popijali bimber, dobrze czuliśmy się za ich obecności. Wtedy organizowano strybitilnie bataliony. Należeli do nich 16-17-letni chłopcy, którzy ostrzegali mieszkańców przed niebezpieczeństwem. Uczęszczałem do czteroklasowej szkoły podstawowej, w której nauka odbywała się w języku polskim. Przez kilka godzin w tygodniu uczyliśmy się matematyki, historii, geografii, rysunku i języka ukraińskiego. Dzięki temu nie było między nami bariery językowej. Mogę się pochwalić, że w szkole byłem prymusem. Byłem też pupilem naszej nauczycielki, starszej pani, która mieszkała w szkole. Miała ona radio na baterie, którego pozwalała słuchać najgrzeczniejszym uczniom – to było święto i atrakcja. Ja często słuchałem tego radia, ale koledzy z klasy się ze mnie naśmiewali. Kolejne klasy, aż do siódmej, robiłem w szkole w Średnim Majdanie. Codziennie, razem z kolegą i czterema koleżankami, chodziłem 5 kilometrów w jedną stronę. Moja mama bardzo chciała żebybym się uczył. Stwarzała mi dobre warunki do nauki, dzięki niej ukończyłem siedem klas. Byłem najstarszy z rodzeństwa. Moja jedyna siostra była młodsza ode mnie o dwa lata. Byłem wychowywany w rodzinie katolickiej. Zachowaliśmy wszystkie tradycje, które rodzice wynieśli z rodzinnych domów na Rzeszowszczyźnie. Kiedy była zamieć śnieżna nie szliśmy do kościoła w niedzielę. Wtedy ojciec brał ksiązeczkę do modlitwy, tzw. kantyczkę i po odmówieniu pacierza, wszyscy siadaliśmy wokół stołu i śpiewaliśmy pieśni i religijne. Jak była słota i błoto do kościoła chodziliśmy na bosaka, a pantofle niosły się na ramieniu. Przed kościołem płynęła rzeczka, w której myliśmy nogi, po czym zakładaliśmy buty i szliśmy na mszę. To były piękne czasy. Chodziliśmy ulicami z dziewczynami, śpiewaliśmy piosenki, ludzie siedzieli na rowach opowiadaли sobie różne historie, plotkowali, bawiły się z dzieciakami. Było pięknie, bardzo pięknie. Z naszej wioski do lasu było 200 metrów. Banderowcy często napadali na nasze domy. W naszej zagrodzie była duża kupa obornika (około metra wysokości). Mój ojciec wykopał w tym oborniku dół, oszalował deskami i w nocy chowałem się tam z siostrą i matką. Ojciec maskował naszą kryjówkę gnojem, a sam ukrywał się w lesie. Obornik był dobrym zabezpieczeniem, bo gdyby podpalili zabudowania, wilgotny gnój nie zająłby się ogniem. Były to lata 1943-1944 – czas mordów ukraińskich.

Po wyzwoleniu w 1945 roku powstała Republika Ukraińska. Nie mieliśmy wyj-

ścia, musieliszy zarejestrować się na wyjazd na Zachód. Zrobiliśmy to bardzo niechętnie, bo musieliszy zostawić cały dorobek ojca.

Mogliśmy zabrać ze sobą tylko tyle ile udało się nam spakować. Wzięliśmy 2 worki kartofli, worek mąki, chleb, słoninę i boczek wędzone, lustro, sprzęt kuchenny, pościel, pierzyny i dwa łóżka. Był jednak taki przypadek, że sąsiad zabrał ze sobą nawet parę koni. Ukrainiskimi furmankami jechaliśmy do Łanczyna oddalonego o 6 kilometrów od Wiśniowiec. Tam, na stacji kolejowej miały być podstawione wagony. Nie było ich jednak. Musieliszy w pośpiechu zabezpieczać przed deszczem nasz dobytek przy pomocy m.in. papy. Na podstawienie wagonów na wyjazd do Polski czekaliśmy cały tydzień. Przyjechał też radziecki weterynarz. Kiedy zobaczył nasze krowy (piękne, zdrowe żywicielki, które miały być dla naszych dzieci), stwierdził że mają pryszczycę. To groźna choroba zakaźna, nie pozwoliła nam zabrać ich ze sobą. Była to celowa robota Ukraińców, którzy podpłacili tego lekarza, aby zabrać nam te piękne krowy.

My nie zgodziliśmy się jechać bez krów. Kazali nam rozładować wagony z naszym dobytkiem i wagony odjechały. Chcieli nas poddać 3-miesięcznej kwarantannie. Baliśmy się, że zastanie nas zima. Dzwoniliśmy więc do władz radzieckich, prosiliśmy, ale przez kolejne dwa tygodnie wagonów nie podstawili.

Zebrała się grupa mężczyzn z naszych stron. Zabrali parę litrów bimbru, trochę słoniny i pojechali do Kołomyji, do siedziby władz radzieckich, gdzie prosili w naszym imieniu o podstawienie wagonów. W końcu, po kolejnym tygodniu, przyjechały. Tylko część wagonów była kryta. Jechały w nich dzieci i ciężarne kobiety. Jedna z nich w czasie podróży do Polski urodziła dziecko. Resztę ludzi załadowano na lory, które przykryli jedynie papą i deskami. Pamiętam jeden taki piękny, słoneczny dzień, kiedy razem z kolegami wszedłem na dach krytego wagonu i wygrzewałem się w promieniach. W pewnym momencie usnąłłem, a kiedy się obudziłem, połowa mojego ciała zwisała już poza wagonem. Jeszcze kilka szarpanieć pociągu i bym spadł. Podróż do Polski trwała około 3 tygodni. Były częste przypadki, że odstawiano nasz transport na boczny tor, na przykład koło Krakowa na stacji staliśmy 3 dni. Miejscowa ludność przynosiła nam chleb, mleko, owoce. Na ziemie odzyskane dotarliśmy w połowie września 1945 roku. Pociąg dojechał do węzłowej stacji w Marciszowie, a stamtąd część wagonów dalej na Lubawkę, Chełmsko Śląskie i Krzeszów.

W transporcie do Krzeszowa i okolicznych wiosek przyjechało wielu moich sąsiadów z Wiśniowiec : Dąbrowski Władysław, Rzeszutek Józef, Malik Stanisław, Jemioła Maria, Paterak Józef, Kurenda Marian, Babula Antoni, Dąbrowski Jan, Krupa Józef. Przejazd wycieńczył nas. Zapasy skończyły się w drodze, chleb spleśniał. Na szczęście władze w kraju po przyjeździe na ziemie odzyskane dostarczyły nam pieczywo i zupę. Po wyładowaniu chodziliśmy po wioskach i szukaliśmy miejsc do zamieszkania. Wszyscy rolnicy chcieli mieć domy i gospodarstwa rolne, żeby w oborze była chociaż jedna krowa. Nie było zbyt dużego wyboru. Te większe gospodarstwa pozajmowali osiedleńcy z centralnej Polski, bo przyjechali wcześniej.

Przypadek sprawił, że w Krzeszowie trafiliśmy na gospodarstwo, które mieści się przy obecnej ulicy Cysterskiej. Pod jednym dachem znajdował się dom, obora z dwiema krowami i wołem roboczym oraz stodoła, a także dwa hektary ziemi.

Właścicielem gospodarstwa był owdowiały Niemiec, który razem z córką mieszkał na piętrze domu upatrzonego przez mojego ojca. Myśmy mieszkali na parterze i zajmowaliśmy kuchnię, pokój i komórkę. Mój ojciec służył w armii austriackiej, znał niemiecki, więc dogadywał się z naszym współlokatorem. Niemiec często wspominał, że ma żal do polskich żołnierzy. Zdarzyło się bowiem, że trzech z nich, którzy swego czasu stacjonowali w Czadrowie chcieli zgwałcić jego córkę. W jej obronie stanęła matka. Żołnierze popchnęli ją, kobieta spadła ze schodów i zmarła. Z gospodarzem żyliśmy w zgodzie. Razem spędzaliśmy Boże Narodzenie, Wielkanoc. Dopóki Niemcy nie wyjechali 18 maja 1946 roku, było nam bardzo dobrze. Każdy z niemieckich wysiedleńców mógł zabrać ze sobą tylko 40 kilo bagażu. Niektórzy zdecydowali się zostać.

Mniej więcej w tym czasie, jako 21-latek poznałem ładną dziewczynę. Miała na imię Edith Miała dziadków w Kamiennej Górze, którzy mieszkali w starem zaniedbanym domu. Z tego względu, dla niepoznaki, ich znajomi dawali im cenne przedmioty na przechowanie. Z tą Niemką poznaliśmy się przypadkowo, bo w sąsiedztwie jej dziadków mieszkał mój stryj Józef Rzeszutek. Niemcy mieli obowiązek noszenia na ręku białych opasek. Któregoś dnia na kamiennogórskim rynku Edith i mnie zatrzymał milicjant. Okazało się, że moja dziewczyna nie miała opaski, mundurowy chciał nam wlepić mandat. Po moich prośbach ustąpił jednak i darował nam.

Edith i jej dziadkowie wyjechali wcześniej niż się spodziewali. Kiedy przyjechałem do ich domu w umówiony dzień, mieszkał tam już Polak. Nie miałem wstępu do tego domu. Tej nocy przyśniło mi się, że za 40 dni dostanę list od mojej ukochanej. Sen się spełnił. Wiadomość napisana była jednak w języku niemieckim, nie wszystko więc mogłem zrozumieć. Sąsiad, pan Jakobshy, pomógł mi przetłumaczyć list i napisać wiadomość zwrotną. Moja korespondencja z Edit trwała dłuższy czas, ale w końcu się urwała i odeszła w zapomnieniu.

Wracając do Krzeszowa. W Wielkanoc panował taki zwyczaj, że osoba która poszła do kościoła święcić potrawy musiała później z tym świętym trzy razy obejść dom. Niemcy bardzo się temu dziwili. Z kolei rano w Wielki Piątek w naszym domu zakrywało się chustą lustro i zatrzymywało zegar. Uruchamiało się go dopiero w sobotę wieczorem. Z tamtych czasów nie zachowały się nam żadne pamiątki. W 1949 roku ożeniłem się z Rozalia z d.Zuba. Moja małżonka również przyjechała na ziemie odzyskane z kresów wschodnich. Urodziła się i wychowała we wsi Św. Stanisław województwo Stanisławów. Pracowałem w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Kamiennej Górze na stanowisku inspektora ds., skupu. Po kilku latach pracy zaproponowano mi, żebym się dokształcał. W ten sposób ukończył czteroletnie technikum chemiczno-spożywcze z oddziałem w Legnicy i zdobyłem wykształcenie średnie.

Zaprzyjaźniony z naszą rodziną ksiądz Mateusz proponował mi później kontynuowanie nauki na Uniwersytecie Lubelskim, ale moja mama się nie zgodziła. Nie chciała żebyem oddalał się z domu. To były niepewne czasy. Straszono nas, że wróćmy na swoje do Wiśniowiec, bo wybuchnie III Wojna Światowa. Śpiewałem w kościelnym chórze (często solowe partie), występowałem w jasełkach i innych spektaklach. Lata powojenne były piękne i wesołe. Niestety nie było wtedy aparatów i kamer, żeby to wszystko utrwały.

Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w „dolnym” Krzeszowie, mieliśmy za sąsiadki dwie Niemki, starsze panie. Moja mama robiła pyszne gołąbki z kaszy gryczanej. Zaprosiła kiedyś na obiad te nasze sąsiadki. Strasznie im te gołąbki smakowały, później nawet próbowali robić je u siebie w domu. Niestety wychodziło im to niefortunnie: zawijały kaszę w liście kapusty i rzucały na wodę jak pierogi. Wszystko się im rozwałilo, więc przyszły do mojej mamy, żeby wytłumaczyła im jak to się robi. Znaczy to, że Niemki gołąbków nie знаły. Podobnie jak pierogów.

Niemcy bardzo dbali o swoje gospodarstwa i pola. Po siewach mieli nawet zwyczaj wałować ziemię, żeby nie wyschła. Pilnie obserwowałem ich kulturę rolną. Ja dorywczo pracowałem na gospodarce u ojca. Nawet kiedy już się ożeniłem i miałem dzieci, po pracy, często do nocy obrabiałem z ojcem pole, kopałem ziemniaki, kosiłem trawę. A później potrafiłem pójść do domu, wykąpać się, przebrać i pójść do kościoła na próbę chóru i przedstawienia jasełkowego.

W 1965 roku wraz z żoną i trzema córkami przeprowadziłem się do domu pod obecnym adresem: Księcia Bolka I nr.13. Dom przeznaczony był do kapitalnego remontu, który trwał wraz z przebudową 2 lata.

Po drugiej stronie ulicy stał piętrowy budynek o długości 50 metrów. Mieściła się w nim sala taneczna. To było coś pięknego – sale miały wielkie lustra, była fontanna z tryskającą wodą. Niestety Ruscy i Polacy wszyscy poszabrowali. W domu tym była też zajezdnia dla koni i wozownia, gdzie właściciele bryczek zostawiali zwierzęta i wozy i szli do knajpy na piwo. W Krzeszowie były dawniej 4 piekarnie, sklep rowerowy z serwisem, a także stacja benzynowa, szewc, młyn i tartak. Było aż 5 obiektów restauracyjnych. Po 1945 roku została tylko jedna restauracja – Wil-Imanowa Pokusa. Była też masarnia i sklep spożywczowo-przemysłowy i z obuwiem. Przepracowaliśmy w tym sklepie razem z żoną 20 lat.

Od 1989 roku oboje jesteśmy na emeryturze. Dzielnie znosimy dolegliwości związane z podeszłym wiekiem. Doceniamy dobrodziejstwo opatrzności, że możemy się wspólnie pięknie starzeć mieszkając w malowniczym Krzeszowie, w którym założyliśmy nowy dom, po przymusowym opuszczeniu rodzinnego na kresach wschodnich. Nieraz miałem chęć pojechać w rodzinne strony, na obecną Ukrainę. Z opowiadań wiem, że droga do moich Wiśniowiec jest cała zarośnięta trawą, nie ma śladu po moim rodzinnym domu.

Ferdynand Wilk

Urodziłem się w Wiśniowcach 25 maja 1926 roku. Oficjalnie. W metryce mam bowiem wpisany rok 1928. To dlatego, że ksiądz z mojej wioski ujmował młodym chłopcom lat, żeby uch Niemcy do wojska nie brali.

Gdy wybuchła wojna miałem 13 lat. Niemcy zajęli nasze ziemie w drodze do Stalingradu. Codziennie śmierć zaglądała nam dzieciom w oczy. Robiliśmy wszystko, żeby się uchronić, żeby przetrwać. Ja też. Chowałem się w lasach, po polach, a mimo to mnie złapali. Mojego starszego brata też i wywieźli nas w różnych kierunkach. Mnie dali do kopania rowów i okopów. Starsi jeńcy podpowiedzieli mi, że powiniensem uciec. Niemcy nie pilnowali dzieci tak, jak dorosłych. Rowy kopaliśmy na skraju lasu. Wraz z czterema kolegami udało mi się uciec i schować się w leśnej gęstwinie. Za Stanisławowem trafiliśmy na pracujących w polu ludzi, którzy poradzili nam, żebyśmy posmarowali podeszwy butów rozpuszczalnikiem do farb lub pieprzem. Dzięki temu hitlerowskie psy nie wpadły na nasz trop.



Szliśmy dalej, w głąb lasu aż natrafiliśmy na pewnego mężczyznę. Nie wiedzieliśmy czy to bandyta czy może Rosjanin. Ten jednak odezwał się do nas po polsku, a my opowiedzieliśmy mu, jak znaleźliśmy się w tym lecie. Nieznajomy okazał się być żołnierzem AK. Zabrał nas do swojego sztabu i przekazał dowódcy, który wziął mapę i egzaminował nas ze znajomości okolicznych miejscowości. Po przesłuchaniu stwierdził, że się nami zaopiekuje, żeby Niemcy albo Ukraińcy nie drapnęli. Wstąpiłem w szeregi AK, złożyłem przysięgę i przyjąłem pseudonim „Mały”. Otrzymałem broń. Nie było czasu na poligony. Strzelać uczyłem się w walce. Miałem wtedy 15 lat. Każdy nowy dzień był dla nas świętym. Życie miało niską cenę, ale walka z Niemcami i Ukraińcami dodawała nam siły i odwagi.

Pamiętam taki okres, kiedy u nas na Ukrainie byliśmy 17 dni bez rządu, bez władz. Wtedy Rosjanie wstrzymali marsz, bo mieli nadzieję, że Polacy wykrwawią się w walce z Niemcami i będą mogli przyjść na gotowe. Gdy Niemcy polegli po Stalingradem, musielibyśmy wyjść z lasu. W przeciwnym razie Ruscy mogli nas wyłapać i na Sybir wywieźć.

Podróż na ziemie odzyskane rozpoczęliśmy na stacji Łanczyn. Kilka dni czekaliśmy pod gołym niebem, aż nam podstawią wagony. Wieźli nas jak psy. Dachy niekryte, węglarki, ubikacje wszystko w wagonach. Nikt nie zwracał uwagi na to, żejadą z nami kobiety, że muszą zachować intymność. Do tego dochodził lęk, strach o to, gdzie my w końcu dojedziemy. Postoje były długie. Zbieraliśmy pieniądze po podróżnych, żeby przekupić zawiadowcę stacji, by tak długo nie czekać. Jechali-

śmy przez Kołomyję na Rzeszów, Tarnów, Kraków. Jak po drodze ktoś sobie coś upatrzył, mógł wysiąść i zamieszkać gdzie chciał. My dojechaliśmy do Marciszowa. Tam dzielili wagony, biorąc pod uwagę liczbę rodzin nimi podróżujących. My znaleźliśmy się w transporcie skierowanym do Krzeszowa. Kiedy wyjeżdżałyśmy było po żniwach. Do Krzeszowa dotarliśmy akurat na siew zbóż. Przejechaliśmy w nocy. Zakwaterowali nas w wiejskiej świetlicy – dzisiajzym domu kultury. Chodziły po nas wszyscy, byliśmy ziębnieci, nie mieliśmy się gdzie umyć. Rano przeszedł do nas sołtys wraz z Niemcem, który zabrał nas na wycieczkę po okolicy. Mieliśmy wyszukać i wybrać dla siebie domy. W Krzeszowie nie mogliśmy niestety – tam mieszkały już rodziny, które przyjechały wcześniejszym transportem. Chodziliśmy więc po okolicy, mama wybierała gospodarstwa, my tylko doradzaliśmy. W końcu zdecydowaliśmy się na dom w Jawiszowie. Do budynku przynależało 17 hektarów ziemi. Nie było maszyn, tylko kilka sztuk bydła i dwa woły. Został nam jeden, bo drugiego sołtys oddał sąsiadów, którzy nie mieli żadnego. Przez kilka miesięcy mieszkały z nami Niemcy. Małeństwo z czwórką dzieci. Jeden z synów zginął na wojnie, a matka była kaleką, przykutą do łóżka. W pierwszych dniach się nas bali, bo Polacy, główni ci z centrali, bili Niemców, którzy z nimi mieszkali. Pierwszą noc spędziliśmy przy stole na strychu. Nie znając języka niemieckiego nie umielimy powiedzieć, że chcemy się w końcu wymyć. Dopiero na drugi dzień jeden z synów naszego lokatora zorientował się i nagrzał nam wody do mycia. Kiedy położyliśmy się do łóżek, spałem całą dobę bez przerwy.

W Jawiszowie zamieszkaliśmy na jesieni 1945 roku. Miałem wtedy 19 lat. W 1948 roku dostałem wezwanie do wojska. Kiedy wyjeżdżałem moja mama leżała w szpitalu. W wojsku byłem trzy lata. Warunki były różne, ale miałem ubranie, jedzenie i dach nad głową. W Jawiszowie zostały moje 4 siostry i brat. Drugi zginął na wojnie. Siostry powychodziły za mąż i opuściły dom. Później gospodarstwo opuścił też brat, który się ożenił. Mama została sama, była bardzo chora i ciężko było jej pracować. Gospodarstwo podupadło. Mama zmarła w Wielkanoc 1950 roku. Kiedy przeszedł telegram o jej śmierci, mój dowódca stwierdził, że jest fałszywy. Nie chciał wydać zgody na przepustkę. Oświadczyłem, że ucieknę. Dopiero po namyśle zmienił zdanie. Dojechałem do Kamiennej Góry szczęśliwie, a stamtąd piechotą do Jawiszowa. Bałem się, że nie zdąży na pogrzeb. Udało się jednak. Byłem szczęśliwy, że mogłem odprowadzić mamę po raz ostatni. Mój ojciec zmarł 10 lat wcześniej. Był saperem. Ciągle żyje mój najstarszy brat. Ma dziś 92 lata.

Kiedy wróciłem z wojska był rok 1951. Czułem się samotny, w domu mieszkałem sam. Miałem kolegów, którzy nie stronili od kieliszka, ale nie piłem z nimi, bo mój organizm nie przyswajał alkoholu. Po kilku dniach po powrocie otrzymałem wezwanie do UB w Kamiennej Górze. Kiedy zjawiłem się na miejscu, ujrzałem długą kolejkę. Mówię na głos: trzeba będzie długo stać. A ludzie: niech pan idzie pierwszy. Bali się, że do więzienia wysyłali bili. Ja po wojsku byłem odważny, dowódca nauczył mnie jak rozmawiać na przesłuchaniach. Był dla mnie jak ojciec. Wszedłem do pokoju spokojny, próbowałem nawet żartować. Ale kiedy postraj-

szyszyli mnie więzieniem i wskazali pasy schowane w szafie zrozumiałem, że żartów nie ma. Podsunęli mi dokument i mówią, że jestem zadłużony w gospodarstwie. Tłumaczę więc, że trzy dni temu z wojska wróciłem, że rodzice zmarli, rodzeństwo poszło z domu. Wezwali mnie do zapłacenia 300 złotych, kiedy ja w kieszeni miałem zaledwie 6! Nie miałem nawet na jedzenie, a siostry zostawiły zadłużone gospodarstwo. Po dłuższej rozmowie wypuścili mnie.

Nie miałem wyjścia, musiałem znaleźć pracę. Zatrudniłem się w Spółdzielni Kółek Rolniczych, gdzie naprawiałem wypożyczone przez rolników zniszczone i zużyte maszyny i inne sprzęty. Nie zarabiałem wiele. Po godzinach dorabiałem u gospodarzy. Zwolniłem się, szukałem pracy gdzie indziej. Myślałem o kopalni uranu w Okrzeszynie, ale zrezygnowałem. Dobrze płaciли, ale praca była niebezpieczna dla zdrowia. W końcu znalazłem zatrudnienie w kopalni piasku w Krzeszówku. Pracowałem na urobisku. Na każdej zmianie ładowałem ręcznie 35 ton piasku. Kierownikiem piaskowni był mój wujek, który przeniósł mnie później do warsztatu. Płaca była niższa, ale praca lżejsza i pewniejsza. Tam pracowałem 31 lat. W 1989 roku przeszedłem na emeryturę.

W 1954 roku na zabawie poznałem moją żonę, Weronikę. Żona pochodzi z okolic Nowego Sącza, przez wiele lat pracowała we „Lnie”. Ślub braliśmy w bazylice w Krzeszowie. Towarzyszyło nam 12 gości. Nie stać nas było na wielkie i huczne wesele. Po ślubie przenieśliśmy się do Gorzeszowa i tam na świat przyszły nasze dzieci. Kupiliśmy krowę, żona zwolniła się z pracy, gospodarzyła i dbała o dom.

To były dobre czasy. Kupiliśmy telewizor, pralkę, lodówkę, dzieci miały swój własny pokoik, w którym mogły się uczyć. Moim celem od zawsze było wykształcenie synów, aby mieli podstawy do lepszego, wygodniejszego życia.

Do Krzeszowa przeprowadziliśmy się 15 lat temu, na jesieni 1997 roku, do nowo wybudowanego domu. Stawiałem go sposobem gospodarczym razem z synem Włodzimierzem. Z rodzinnych stron zabraliśmy tylko tyle, ile byliśmy w stanie wziąć „do ręki”. Ze wschodu przywiózłem m.in. figurę Matki Boskiej i obrazek. Przekazałem swoim dzieciom, żeby po mojej śmierci przejęli opiekę nad tymi pamiątkami.

Dziś już nie pamiętam wielu szczegółów z czasów swojej młodości. Żałuję, że nie pisałem wtedy pamiętnika.

KONWENT MNISZEK BENEDYKTYNEK ZE LWOWA W KRZESZOWIE

Konwent Mniszek Benedyktynek z Krzeszowa powstał we Lwowie w latach 1593 – 1598. Jego założycielką, fundatorką, a także pierwszą ksienią była Katarzyna Szaporowska. Przez prawie czterysta lat Siostry Benedyktynki chwaliły tam Boga modlitwą i pracą. Dopiero w 1946 roku, na skutek zmian politycznych, zostały wysiedlone ze Lwowa. Na mocy rozporządzenia władz kościelnych osiadły wtedy w Krzeszowie.¹ W tym samym czasie, także na skutek powojennej zmiany granic, krzeszowskie Opactwo musiał opuścić konwent Ojców Benedyktyńców, który składał się w przeważającej części z mnichów narodowości niemieckiej. Pozostali tylko nieliczni ojcowie i bracia, którym



Konwent Mniszek Benedyktynek po przyjeździe do Krzeszowa w klasztornym ogrodzie.



*Siostry razem z chórem parafian krzeszowskich
Lata pięćdziesiąte.*

obywatelstwo na to pozwalało, przekazali Siostrom klasztor wraz z aktem własności. (Taki bowiem istniał podział już od czasów przedwojennych, że klasztor należał do zamieszkującej go wspólnoty zakonnej, a oba kościoły pozostawały w jurysdykcji kurii diecezjalnej).

W kronikach klasztornych można przeczytać na temat tamtych wydarzeń następujący zapis: „Pierwsze wrażenie (po przyjeździe do Krzeszowa) – to zachwyt. Po tylu udrękach i trzech tygodniach wyzerpującej nerwowo podróży – azylum

dla nas przeznaczone wydawało się nam sennym marzeniem lub fatamorganą wśród cudownego krajobrazu nietkniętego ręką wojny. Naprzeciw nam wyszedł Ojciec Mikołaj Lutterotti, przeor miejscowy, pozostały tu jako Tyrolczyk, mający obywatelstwo austriackie, prócz niego Ojciec Bruno Studeny, obywatel czechosłowacki, podobnie jak brat Gunter i dwaj Bracia Florianie, jeden z Grussau, drugi z Sechau, poddani austriacy. /.../ Ojcowie zadowoleni, bo klasztor zostaje w rękach benedyktyńskich, a rząd zamierzał go zamienić na jakieś instytucje państwowwe”.² Razem z Siostrami, jako ich kapelan.

¹ „Po konferencji poczdamskiej zaczęto się zastanawiać nad miejscem ewakuacji opactwa. /.../ Po nieudanej próbie znalezienia miejsca w Jarosławiu i Staniątkach zakonnice zostały zaproszone do opactwa w Lubuniu. /.../ W listopadzie 1945 r. wyjechała tam część sióstr. /.../ Kolejne siostry opuszczały Lwów w styczniu i marcu 1946 r., a także w kwietniu. /.../ Ostatnie benedyktynki opuściły Lwów w maju 1946 r. Ich transport dotarł do Kościana, gdzie dowiedziały się, że prymas August Hlond przeznaczył im klasztor w Krzeszowie (ówcześnie miejscowości nosiącej nazwę Krasobór). /.../” Michał Kurzej, Kościół p.w. Wszystkich Świętych i klasztor P.P. Benedyktynek, [w:] Kościoly i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego, (red.) Jan K. Ostrowski, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2011, s. 98 – 99.

² Kronika klasztorne Opactwa Mniszek Benedyktynek w Krzeszowie, Rocznik 1946.

pozostał aż do swojej śmierci Ojciec Bruno, Ojciec Mikołaj Lutterotti i dwaj braci w następnych latach wyjechali.

Krzeszów na ów czas był świadkiem nieustanego exodusu. Swoje domostwa opuszczali niemieccy mieszkańcy, przybywali na ich miejsce osadnicy polscy, głównie z nowosądeckiego i terenów zabużańskich. W trudnym czasie dla wszystkich i mimo rozlicznych własnych problemów Siostry Siostry z dziećmi w przedszkolu „caritasowym”. Lata pięćdziesiąte. stanęły od razu do pomocy duszpasterzom krzeszowskim. Kronikarka klasztorna podając szczegóły tamtych wydarzeń, pisze: „Już w parę miesięcy po przybyciu do Krzeszowa zaczęłyśmy pracować w parafii wedle sił i umiejętności. Panna Paula pomagała Ojcu Mateuszowi (benedyktynowi z Tyńca, który w latach powojennych był proboszczem parafii krzeszowskiej) w prowadzeniu Caritasu. Panna Michałina i Panna Laurencja uczyły dzieci religii. Panna Felicja i Panna Celestyna organizowały przedszkole. Siostra Ewangelista zajęła się zakrystią i chórem parafialnym. Siostra Ildefonsa uczyła śpiewu w szkole krzeszowskiej. /.../ Nie było jeszcze wówczas lekarza we wsi, a do miasta dość daleko, więc nasza Panna Paula została mianowana przez Caritas higienistką w Krzeszowie, a Panna Józefa w Jawiszowie”³ Siostry organizowały również życie w parafii. Były to min. wspólne występy: jaselka, mikolajki, okolicznościowe akademie czy misteria religijne. Pierwsze prace Sióstr były więc związana nie tylko z ewangelizacją, ale z szeroką rozumianą pracą społeczną. Były świadomym tworzeniem więzi społecznych i poczucia przynależności pośród nowoprzybyłych osadników krzeszowskich. Jak powiedział kiedyś



Siostry w zaciszu klasztornej kaplicy.

w rozmowie z Siostrami śp. Pan Tadeusz Jała: „Parafia i klasztor były dla nas taką ostoją. Siostry potrafiły to jakoś tak zrobić, że wszystko odbywało się w klasztorze./.../ Księża się zmieniali, a my zawsze byliśmy z Siostrami”.

Z latami, na skutek zmian w życiu parafii wiele zajęć odpadało: „pozostały jednak ciche, ukryte trwanie na straży tego miejsca, na straży Obrazu Matki Bożej Łaskawej – przy zmieniających się często duszpasterzach – i modlitwa w zaciszu klasztornej kaplicy w intencji świata, Kościoła, a szczególnie za tych, którzy z wiarą przychodzą do Matki Bożej Łaskawej ze swoimi bólami i prośbami”.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękujemy wszystkim osobom, które z zaangażowaniem pracowały przy realizacji projektu a szczególnie:
bohaterom niniejszej broszury, dyrektor Gimnazjum w Krzeszowie, pani Jolancie Gołębiowskiej oraz współpracującym nauczycielom:
Beacie Wasilewskiej, Monice Sikorze, Patrycji Dąbrowskiej-Wiśniewskiej,
gimnazjalistom klas drugich: Pawłowi Kędroniowi, Arturowi Cabale,
Michałowi Leszczyńskiemu, Jakubowi Widulińskiemu, Sebastianowi Grzybowi, Ilonie Hatlaś, Kindze Salawie, Patrycji Paluch, Natalii Trojan,
Julii Gamoń, Magdzie Kołodziejczak, Patrycji Oleksy, Łucji Wilk, Kasi Zerce,
Patrycji Blicharz, Kasi Wójciak, Kamilowi Wojtaszczykowi, Zuzannie Sawickiej,
Marcelinie Konar i Przemkowi Kraszewskiemu.
oraz Alicji Bielak, Andrzejowi Kędzi, Oli Chmielewskiej, Teresie Sikorze,
Mateuszowi Gackowi i Kazimierzowi Ogorzałkowski.

Szczególne podziękowania kierujemy do Prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Granica, Bożeny Pełdiak za gotowość niesienia pomocy
i cenne wskazówki.



WYKAZ

żyjących krzeszowskich osadników przybyłych do Krzeszowa w okresie 1945-1955

Lp	Imię i Nazwisko	S/C	Data urodz./ Miejsce ur.	Rok przyjazdu do Krzeszowa.	Przyjazd z.....*
1	Stefan Bodzioch	Stefan	Biadoliny Radłowskie 20.02.1924	1945	małopolskie
2	Bronisław Bałuszyński	Andrzej	Podola Górowa 01.02.1929	1946	krakowskie
3	Marian Barczyk	Jan	Wielkie Oczy 01.02.1929	1946	lwowski
4	Teresa Barczyk	Wawrzyniec	Paszyn 20.03.1931	1953	krakowski
5	Wincenty Dumański	Piotr	Uchorniki 03.08.1932	1953	stanisławowski
6	Michał Downarowicz	Józef	Niemeniny 13.03.1912	1945	Litwa
7	Maria Górką	Franciszek	Wojnarowa 06.01.1925	1945	krakowskie
8	Katarzyna Górką	Jan	Obidza 24.11.1926	1945	krakowskie
9	Genowefa Górką	Stanisław	Królowa Polska 27.09.1926	1946	krakowskie
10	Maria Gucwa	Józef	Mystków 25.01.1928	1946	krakowskie
11	Genowefa Głód	Sebastian	Paszyn 07.07.1926	1945	krakowskie
12	Stanisława Gieniec	Jan	Królowa Polska 26.04.1928	1949	krakowskie
13	Teresa Jała	Wojciech	Paszyn 17.01.1943	1945	krakowskie
14	Bronisław Jała	Władysław	Żurów 17.03.1939	1945	stanisławowskie
15	Zofia Jała	Stanisław	Wiśniowce 20.09.1925	1945	stanisławowskie
16	Mieczysław Jała	Stanisław	Wiśniowce 10.11.1934	1946	stanisławowskie
17	Józefa Jeleń	Jan	Królowa Polska 04.11.1922	1945	krakowskie
18	Helena Kiełbasa	Stanisław	Michałczowa 19.02.1925	1945	krakowskie
19	Władysław Kiełbasa	Stanisław	Kamionka Wl. 08.04.1941	1949	krakowskie
20	Urszula Leszczyńska	Antoni	Borysław 07.01.1935	1945	lwowskie
21	Irena Lorek	Edward	Dewergi 25.11.1926	1945	nowogródzkie
22	Stanisława Mika	Franciszek	Paszyn 06.05.1924	1945	krakowskie
23	Józefa Mrowca	Karol	Dobra Nadzieja 05.03.1925	1946	poznańskie
24	Józef Micek	Piotr	Łomadżyn 11.04.1934	1945	stanisławowskie
25	Helena Niemiec	Józef	Wiśniowce 15.01.1940	1945	stanisławowskie
26	Małgorzata Nowak	Jan	Boquzowa 13.05.1931	1951	krakowskie
27	Józef Nowak	Michał	Kamionka Wl. 18.08.1925	1951	krakowskie

28	Janian Oleksy	Ludwik	23.10.1933 Bakowiec	1951	krakowskie
29	Aniela Oleksy	Piotr	10.10.1919 Paszyn	1945	krakowskie
30	Karol Ogorzałek	Stanisław	20.09.1929 Mszalnica	1945	krakowskie
31	Teresa Ogorzałe	Józef	10.06.1932 Kłodawa	1950	koszalińskie
32	Agnieszka Pazgan	Piotr	19.01.1931 Kamionka Wl.	1945	krakowskie
33	Stanisław Paluch	Jan	14.02.1944 Łazy Biegonięckie	1950	krakowskie
34	Helena Paluch	Jan	04.06.1938 Nowy Sącz	1945	krakowskie
35	Florian Rzeszutek	Michał	18.02.1925 Łomadżyn (Wiśniowce/	1945	stanisławowskie
36	Rozalia Rzeszutek	Stanisław	13.12.1927 Św. Stanisław	1946-Legnica 1949-Krzeszów	stanisławowskie
37	Emilia Salamon	Józef	26.01.1925 Wiśniowce	1945	stanisławowskie
38	Janina Tokarska	Jan	21.09.1928 Grabie	1951	krakowskie
39	Franciszek Tokarski	Franciszek	18.05.1925 Nowy Sącz	1945	krakowskie
40	Weronika Trojan	Piotr	16.02.1920 Mystków	1945	krakowskie
41	Krystyna Wolak	Jan	08.05.1943 Łącko	1945	krakowskie
42	Michał Wodnicki	Franciszek	09.10.1925 Dolina	1946	stanisławowskie
43	Helena Wodnicka	Władysław	23.07.1935 Żurów	1946	stanisławowskie
44	Eugeniusz Waniołek	Jan	09.12.1925 Bukowiec	1948	krakowskie
45	Ferdynand Wilk	Władysław	25.05.1926 Wiśniowce	1945	stanisławowskie
46	Weronika Wilk	Władysław	25.07.1935 Nawojowa	1945	krakowskie
47	Janina Wojtuń	Józef	21.10.1931 Ostrowsko	1949	lódzkie

* wg podziału administracyjnego II RP

Broszura powstała w ramach projektu pt. "Krzeszowski osadnik 1945-1955"

Zbieranie materiałów: Halina Tykierko

Opracowanie i korekta tekstów: Monika Całko

Projekt graficzny i skład: Usługi Poligraficzne Bogdan Kokociński
57-400 Nowa Ruda ul. Armii Krajowej 15 tel/fax 74 872 50 92

Publikacja wydana przez Stowarzyszenie Optymistów Krzeszowskich



Ul. Kalwarii 1
58-405 Krzeszów
www.optymiscikrzeszow.pl

POLSKO-AMERYKAŃSKA
FUNDACJA WOLNOŚCI



 AKADEMIA ROZWOJU
FILANTROPII W POLSCE



Projekt został dofinansowany ze środków Programu "Działaj Lokalnie VII"
Polsko - Amerykańskiej Fundacji Wolności realizowany przez Akademię rozwoju
Filantropii w Polsce oraz Ośrodek Działaj Lokalnie w Lubawce i Urząd Gminy w Kamiennej Górze